MAGAZYN

Tour de Pologne po latach zawitał ponownie do naszego regionu
– Str. 10-11

Chłopaki do wielkiej gry, tańca i różańca. Drużyna Wagnera – mistrzowie olimpijscy
– Str. 13

Telemagazyn z programem tv i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu

Nr ISSN 1231-8124
Nr indeksu 348-570
9 771231 812052 32

www.gk24.pl

Nr 182 (5940) | Nakład: 9.210 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

GŁOS KOSZALIŃSKI

DZIENNIK POMORZA

74 lata

Piątek, 7.08.2026

KRAJ
Pierwszy rok prezydentury Karola Nawrockiego był naznaczony wetami i nieustanną wojną z ekipą Donalda Tuska. Trudno zakładać, żeby w najbliższym czasie coś się miało zmienić

ŚWIAT
Ekstremalne upały winne śmierci około 9,6 tys. osób. Tylko w jednym tygodniu

Relaks
Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Koszalin

Remont parkingu miał pomóc w chaosie przy szkole. Kiedy ruszą prace?

Miał być wyremontowany do końca czerwca, tak się nie stało. Jego naprawa miała pomóc w poprawie komunikacyjnego chaosu
– Str. 4

Koszalin

Euroboisko do naprawy? Urzędnicy chcą z tym poczekać

Czy nawierzchnia nowego euroboiska przy ulicy Fałata będzie poprawiona? Już wiadomo, że jeśli do tego dojdzie, to na pewno nie w tym roku
– Str. 4

Region

FOTO CHŁOPY
FOT. ROGER GORĄCZNIAK

Graffiti ku pamięci CHY-8

W Unieściu powstało wyjątkowe graffiti upamiętniające czterech rybaków, którzy zginęli w katastrofie kutra CHY-8
– Str. 3

REKLAMA 0011548513

eprasa.pl e73f62faec

POLECAMY

JUTRO: Urlop połączony z warsztatami. Gwiazdy ekranu: Tomasz Kot i Witold Pyrkosz

7.08.2026

Piątek

Dziś imieniny mają: Dorota, Kajetan, Klaudia, Konrad
Telefon alarmowy: 112

GP24.pl GK24.pl GS24.pl

POLSKA PRESS GRUPA

PBC

Redaktor naczelny Jarosław Jaz
Z-cy redaktora naczelnego Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka
Wydawca Ynona Husaim-Sobecka, Jarosław Jaz, Wojciech Frelichowski, Marcin Stefanowski, Piotr Polechoński
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Polska Press Makroregion Pomorze
Redakcja Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl; Koszalin, ul. Partyzantów 17, tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl; Szczecin, Al. Niepodległości 26/U1, tel. 91 481 33 00,redakcja.gs24@polskapress.pl,
Prezes Makroregionu Piotr Grabowski
Dyrektor reklamy Ewa Żelazko
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. ZSTW

Marina na Wyspie Grodzkiej w Szczecinie zyskała nowy wygląd. Właśnie zakończyły się prace związane z remontem deptaku. Do wykonania nowych elementów wykorzystano drewno egzotyczne. Koszt inwestycji wyniósł około 285 tys. zł.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Głos Pomorza”
„Głos Koszaliński”
„Głos Szczeciński”

tel. 94 340 11 14
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gp24.pl

POGODA

dziś
23°C/12°C

jutro
24°C/15°C

ROZMOWA

Dane o zarobkach medyków: mamy najwyższy poziom zabezpieczeń

Aneta Pawłowska-Krać (PAP)

Bezpieczeństwo systemu będzie odpowiednio wysokie, by chronić dane przed wyciekiem. To najwyższy poziom zabezpieczeń - zapewnia prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji Daniel Rutkowski. W życie weszła ustawa pozwalająca zbierać dokładniejsze dane o zarobkach medyków.

5 sierpnia weszła w życie ustawa umożliwiająca Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji gromadzenie danych o wynagrodzeniach w ochronie zdrowia w powiązaniu z nr. PESEL i nr. prawa wykonywania zawodu (PWZ). Czy organizacyjnie dla Agencji to jest duża zmiana?

Dane o wynagrodzeniach zbieramy od 2022 roku, czyli od wejścia w życie znowelizowanej ustawy o sposobie ustalania najniższego wynagrodzenia zasadniczego niektórych pracowników zatrudnionych w podmiotach leczniczych. Mamy przystosowane do tego systemy informatyczne, ale teraz będziemy wprowadzać dodatkowe zabezpieczenia, aby zwiększyć poziom ochrony danych. Przygotowujemy również odpowiednie formularze oraz kolejny cykl szkoleń dla podmiotów leczniczych. Podobnie jak przy każdej zbiórce, odbędą się one w trzech terminach. Wyznaczyliśmy także osoby, które w czasie zbiórki będą dostępne telefonicznie, aby na bieżąco odpowiadać na pytania i pomagać w rozwiązywaniu ewentualnych problemów. Stały i bezpośredni kontakt z podmiotami, które przesyłają nam dane, jest wliczony w ten proces.

Medycy mogą się czuć bezpiecznie, jeśli chodzi o ich dane? Czy jednak jest jakieś prawdopodobieństwo, że one wyciekną?

FOT. AOTMIT

Daniel Rutkowski: Do analizy przystąpimy, gdy będziemy dysponować kompletnym zbiorem

Bezpieczeństwo systemu informatycznego jest, ale też i będzie odpowiednio wysokie, aby chronić dane przed wyciekiem. Zapewniam, że to najwyższy poziom zabezpieczeń.

Te dane mają posłużyć do analiz, które następnie zostaną przedstawione Ministerstwu Zdrowia. Co to będą za analizy?

Analizy będą zbiorcze, już nie na danych przypisanych do osoby. Pokażą zjawiska na rynku pracy w publicznej ochronie zdrowia. Co istotne, chcemy poszerzyć zakres zbieranych danych, aby nasze analizy były jeszcze bardziej precyzyjne. Poza powiązaniem ich z numerem PESEL lub numerem PWZ dodamy także wymiar czasu pracy. Chodzi o uzyskanie informacji o poziomie zaangażowania w stosunku do wynagrodzenia, również w przypadku osób pracujących na kontraktach. Dane te pozwolą nam zbadać zjawisko wieloetatowości, czyli pracę tych samych osób w różnych podmiotach. Będziemy mogli zsumować ich wynagrodzenia uzyskiwane w poszczególnych miejscach oraz na podstawie różnych form zatrudnienia. Zobaczymy również, w których specjalnościach najczęściej występuje zjawisko pracy w wielu podmiotach, często w wymiarze zaledwie kilku godzin miesięcznie w każdym z nich. Dotychczas dysponowaliśmy jedynie częściowymi informacjami, które nie pozwalały na pełną ocenę. Teraz się to zmieni.

Z dotychczasowych analiz – jaka część medyków otrzymywała np. rocznie milionowe wynagrodzenia?

Przyjęliśmy przedziały, najwyższy to było powyżej 100 tys. zł. miesięcznie. W tej grupie było około 1,5 proc. lekarzy. To osoby zarówno na umowach o pracę jak i kontraktach. Nie mieliśmy już kolejnego pułapu, ale przy umowach o pracę powyżej 100 tys. zł dane już niewiele wzrastały, a przy kontraktach był jeszcze spory zapas. Odsetek ten dotyczy sytuacji, w której nie mogliśmy połączyć wynagrodzeń tej samej osoby w przypadku zatrudnienia na różne formy w tym samym podmiocie lub z różnych miejsc pracy. Spodziewam się zatem, że obecnie grupa osób zarabiających powyżej 100 tys. zł miesięcznie może wzrosnąć do kilku procent.

Jaki przedział zarobków był najczęstszy?

Mediana, czyli wartość środkowa dla umów o pracę, to 24,4 tys. zł, a dla kontraktów - 26,6 tys. zł. Czyli niewielka różnica.

Co jeszcze może wynikać z analizy danych zebranych jesienią?

Będziemy widzieć strukturę wiekową poszczególnych grup zawodowych, w tym lekarzy z uwzględnieniem specjalizacji.

eprasa.pl e73f62faec

Koszalin/Region

• **Dyżur reportera**
Joanna Boroń, tel. 94 347 35 52 (godz. 10-14)

KOSZALIN

Zginęli w 2010 r. Graffiti ku pamięci załogi CHY- 8

Joanna Boroń

W Unieściu powstało wyjątkowe graffiti upamiętniające czterech rybaków, którzy zginęli w katastrofie kutra CHY-8. Jego autorem jest koszaliński artysta streetartowy Tomasz Żuk, znany jako Cukin. Graffiti zostało wykonane w ramach akcji Artystyczna Przystań Rybacka.

FOTO CHŁOPY

FOT. ROGER GORĄCZNIAK

Autorem graffiti jest koszaliński artysta streetartowy Tomasz Żuk, znany jako Cukin. Czy powstaną kolejne? – Nie wykluczam. Wszystko zależy od czasu, pomysłu –mówi

Katastrofa kutra CHY-8 należy do najbardziej tragicznych wydarzeń w historii pomorskiego rybołówstwa. Do wypadku doszło 17 lipca 2010 roku podczas nagłego i gwałtownego załamania pogody na Bałtyku. Liczący 12,5 metra kuter zatonął około 4,3 mili morskiej na północ od Sarbinowa. W katastrofie zginęło czterech członków załogi.

Bezpośrednio po otrzymaniu informacji o zaginięciu jednostki rozpoczęto szeroko zakrojoną akcję ratowniczo-poszukiwawczą. W działaniach uczestniczyły dwie jednostki Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa (SAR), trzy kutry rybackie oraz dwa śmigłowce Marynarki Wojennej, które prowadziły poszukiwania na zmianę. Mimo przeszukania obszaru o powierzchni około 60 mil kwadratowych nie znaleziono załogi.

Wrak CHY-8 został zlokalizowany kilka dni później przez statek Urzędu Morskiego w Słupsku „Marzenka". Tego samego dnia odnaleziono ciała trzech rybaków. Ciało czwartej ofiary wydobyto z morza pięć dni później, 27 lipca, podczas podwodnej inspekcji prowadzonej przez okręt ratowniczy Marynarki Wojennej ORP „Lech".

Po latach wrak został wydobyty z dna Bałtyku dzięki załodze okrętu ratowniczego ORP „Piast" z 3. Flotylli Okrętów. Operacja trwała cztery doby.

Mural upamiętniający ofiary tej tragedii powstał w ramach projektu Artystyczna Przystań Rybacka – cyklicznego wydarzenia plenerowego organizowanego na przystani w Unieściu przez mieleńskie Centrum Kultury.

Jak wspomina Cukin, pierwsza była ośmiornica – to od niej wszystko się zaczęło kilka lat temu. To był spontaniczny pomysł, który się przyjął. Dziś na kutrach znajduje się już kilka prac, jednak artysta nie ukrywa, że ta upamiętniająca ofiary Bałtyku jest dla niego najważniejsza. Czy powstaną kolejne? – Nie wykluczam. Wszystko zależy od splotu okoliczności – czasu, pomysłu – wymienia artysta.

REGION

Rodzina bez siły na środku Jamna. Ratowali ich policjanci

Jakub Roszkowski

Do niecodziennego zdarzenia doszło w upalną niedzielę na jeziorze Jamno. Policjanci z Mielna, patrolujący jezioro swoją ultraszybką łodzią, zauważyli w oddali dryfujący rower wodny. Chwilę później byli już przy nim.

Rowerkiem poruszali się młodzi ludzie. Tyle że w chwili spotkania z policjantami byli już potężnie zmęczeni.

- Mieli poważne trudności z powrotem do brzegu. Okazało się, że są bardzo zmęczeni i nie mają już siły, by samodzielnie dopłynąć do lądu - opowiada starszy aspirant Izabela Sreberska z Komendy Miejskiej Policji w Koszalinie.

Policjanci bezpiecznie zabrali więc rowerkowiczów na pokład policyjnej łodzi, a rower przywiązali do swojej łodzi i odholowali do brzegu. Dzięki szybkiej reakcji i profesjonalnemu działaniu funkcjonariuszy cała sytuacja zakończyła się szczęśliwie, a osoby potrzebujące pomocy bezpiecznie wróciły na ląd.

- Policyjni wodniacy każdego dnia podejmują interwencje na wodzie. Ich obecność wielokrotnie pokazuje, jak ważna jest szybka reakcja w sytuacjach zagrożenia. Tym razem dzięki pomocy funkcjonariuszy cała rodzina wróciła bezpiecznie na brzeg. Pamiętajmy, że woda nie wybacza błędów - zachowajmy rozsądek, nie przeceniajmy swoich możliwości i zawsze dbajmy o własne bezpieczeństwo - mówi jeszcze starszy aspirant Sreberska.

Policjanci apelują do wszystkich o rozsądek podczas wypoczynku nad wodą. Nie wypływajmy zbyt daleko od brzegu, jeśli nie mamy pewności, że będziemy w stanie bezpiecznie i samodzielnie wrócić.

FOT. POLICJA

Rowerkiem poruszali się młodzi ludzie.

KOSZALIN

Medaliści Inkluzywnych Mistrzostw Europy z wizytą u prezydenta

Joanna Boroń

Michał Dżugan i Patrycja Klakla, srebrni medaliści Inkluzywnych Mistrzostw Europy EUROSAF w żeglarstwie w konkurencji double-handed odwiedzili prezydenta Tomasza Sobieraja.

Inkluzywne Mistrzostwa Europy EUROSAF odbyły się w dniach 14–18 lipca na wodach Zatoki Gdańskiej w Gdyni, w ramach prestiżowego festiwalu LOTTO Gdynia Sailing Days. Zawody zostały zorganizowane we współpracy z Polskim Związkiem Żeglarskim i zgromadziły zawodników z wielu krajów, rywalizujących w konkurencjach integrujących żeglarzy z niepełnosprawnościami oraz pełnosprawnych sportowców.

Michał Dżugan, absolwent Politechniki Koszalińskiej, oraz Patrycja Klakla, reprezentujący Klub Sportowy Mega Start Olsztyn, zaprezentowali bardzo wysoką formę. Polska załoga przez całe regaty należała do czołówki stawki, ostatecznie zdobywając srebrny medal w konkurencji załóg dwuosobowych.

Sukces Dżugana i Klakli był częścią znakomitego bilansu reprezentacji Polski podczas lipcowych imprez mistrzowskich w 2026 roku. Biało-czerwoni wywalczyli łącznie 15 medali – trzy złote, pięć srebrnych i siedem brązowych – potwierdzając wysoką pozycję polskiego żeglarstwa na arenie międzynarodowej.

FOT. UM KOSZALIN

Spotkanie u prezydenta Koszalina Tomasza Sobieraja

eprasa.pl e73f62faec

KOSZALIN

Remont parkingu miał pomóc w komunikacyjnym chaosie przy szkole. Kiedy ruszą prace?

Piotr Polechoński

Miał być wyremontowany do końca czerwca, nic się nie zmieniło do tej pory. Jego naprawa miała pomóc w poprawie komunikacyjnego chaosu, który utrudnia życie rodzicom, uczniom i nauczycielom. Chodzi o parking w pobliżu Szkoły Podstawowej nr 23.

O tym, co w czasie roku szkolnego dzieje się przed koszalińską podstawówką pisaliśmy w kwietniu tego roku. Placówka ta jest zlokalizowana przy ulicy Sportowej. Ulica ta jest wąska, bez miejsc parkingowych zbudowanych wzdłuż niej i wystarczy raz się tędy przejechać, aby się przekonać w jakim złym stanie technicznym jest jej spora część. To wszystko składa się na komunikacyjny koszmar, który rozgrywa się bezpośrednio przy szkole, od poniedziałku do piątku, dwa razy dziennie, przed godz. 8:00 i po godz. 15:00 (czyli w czasie przywozu i odbioru uczniów przez ich rodziców). Dyrekcja szkoły zaapelowała wówczas do władz miasta o poprawę drogowej rzeczywistości w tym miejscu.

Przedstawiciele ratusza informowali wtedy, że miasto ma w planach pełną przebudowę ulicy Sportowej, ale będzie ona możliwa dopiero późną jesienią. Znacznie szybciej miał za to zostać przeprowadzony remont dużego parkingu, który mieści się pomiędzy szkołą, a sportowym kompleksem Gwardii Koszalin. Ten miał zostać wyremontowany do końca czerwca tego roku, a o jego szybką naprawę apelowała dyrekcja szkoły.

- Na pewno bardzo pomógłby remont lub chociażby tymczasowa naprawa nawierzchni dużego, zaniedbanego parkingu pomiędzy naszą szkołą, a Gwardią - podkreśl w naszej poprzedniej publikacji Przemysław Jaśkiewicz, dyrektor SP nr 23.

FOT. PIOTR POLECHOŃSKI

Tak dziś prezentuje się duży parking, między Gwardią, a Szkołą Podstawową nr. 23

- Mamy już początek sierpnia, a parking ten wygląda tak samo fatalnie jak wyglądał – mówi nasz Czytelnik, który zwrócił nam uwagę na ten problem. - A za miesiąc mamy początek nowego roku szkolnego. I znowu zacznie się tutaj ten samochodowy bałagan. Ten parking w dobrym stanie bardzo by tutaj wszystkim pomógł. Czy jest szansa, że miasto do tego czasu go jednak wyremontuje? - pyta nasz rozmówca.

Jak usłyszeliśmy w ratuszu czerwcowy termin został przesunięty, bo udało się przyśpieszyć czas modernizacji całej ulicy Sportowej, w ramach której wyremontowany zostanie także ten parking.- Nie było więc sensu, aby prace na parkingu robić oddzielnie, skoro to będzie można zrobić w ramach jednego projektu - mówi Anna Makarewicz, rzecznik prasowa prezydenta Koszalina. - Remont ulicy Sportowej rozpocznie się we wrześniu. Obecnie Miejskie Wodociągi i Kanalizacja opracowują projekt dotyczący swojej infrastruktury, natomiast Zarząd Dróg i Transportu równolegle przygotowuje własną dokumentację w uproszczonej, szybkiej procedurze projektowej. Takie działania pozwolą na sprawne rozpoczęcie robót po zakończeniu etapu przygotowawczego - informuje nasza rozmówczyni.

Czy rozpoczęcie prac na początku roku szkolnego nie sparaliżuje i tak już utrudnionego samochodowego ruchu w tym miejscu?

- Mamy świadomość, że termin realizacji inwestycji zbiegnie się z rozpoczęciem roku szkolnego, kiedy w rejonie ulicy Sportowej znacząco wzrasta natężenie ruchu pieszych i samochodowego - przyznaje rzecznik prasowa. - Dlatego prace zostaną zaplanowane w sposób ograniczający utrudnienia dla mieszkańców, uczniów i rodziców. Roboty będą prowadzone przede wszystkim w godzinach popołudniowych i wieczornych, z zachowaniem obowiązujących zasad dotyczących ciszy nocnej. Tak, żeby zapewnić możliwie najmniejszy wpływ inwestycji na codzienne funkcjonowanie w tej okolicy - zapewnia Anna Makarewicz.

©℗

REGION

Urodziny Białogardu: Danzel, Czadoman

Jakub Roszkowski

Jak zawsze bogaty jest program białogardzkich Dni Miasta. Tegoroczne zostały zaplanowane już na najbliższe piątek i sobotę (7-8 sierpnia). Wystąpią gwiazdy disco i dance, ale także Francesco Napoli, mistrz italo disco.

Główne wydarzenia odbywać się będą na placu Wyspiańskiego i zaczną o godzinie 17.30. Pierwszego dnia na scenie wystąpią TOŃ, Nienazwani, Alien & Majtis, Aleksandra Rytlewska oraz Nocny Kochanek. Pierwszy dzień zakończy pokaz Szkoły Tańca i Sportu Perfect oraz Bitwa DJ Face2Face, podczas której za konsoletą staną Fernandez, Matt Haus i Invaders Galaxy Show.

Drugiego dnia - w sobotę - świętowanie rozpocznie się o godzinie 17 od krojenia tortu dla mieszkańców. Następnie publiczność zobaczy występ Movement Studio, koncert G91 oraz występ Aleksandry Januszewskiej i Francesco Napoli. Wieczorem na scenie pojawią się Czadoman, Danzel oraz Gromee, który będzie gwiazdą finału tegorocznych obchodów.

0011563196

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 31 lipca 2026 roku odszedł nasz Kochany Tata, Teść i Dziadek

śp. Ryszard Tomczyk

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się w poniedziałek 10 sierpnia 2026 roku o godzinie 11.30 w kaplicy na Cmentarzu Komunalnym w Koszalinie.

Pogrążona w smutku rodzina

KOMUNALNY ZAKŁAD POGRZEBOWY

KOSZALIN

Murawa euroboiska do naprawy? Urzędnicy i wykonawca chcą z tym poczekać

Piotr Polechoński

Czy nawierzchnia nowego euroboiska przy ulicy Fałata będzie poprawiona? Po spotkaniu przedstawicieli miasta z wykonawcą już wiadomo, że jeśli do tego dojdzie to na pewno nie w tym roku. - Chcemy poczekać z poprawkami i zobaczyć, jak nawierzchnia będzie reagować w trakcie tegorocznej jesieni i zimy - informują w Zarządzie Obiektów Sportowych.

Drugie miejskie euroboisko - pierwsze jest w piłkarskim kompleksie Bałtyku Koszalin - zostało uroczyście otwarte 16 listopada ubiegłego roku. Powstało w miejscu dawnego, żużlowego boiska. Koszt budowy to 8 mln 743 tys. 601,37 zł (w 2023 roku miasto dostało rządową dotację w ramach Polskiego Ładu w wysokości 98 procent wartości inwestycji). Głównym wykonawcą - wyłonionym w drodze przetargu - była firma Elsik z Żukowa.

Euroboisko to nowoczesny obiekt sportowy, z trybunami dla publiczności, infrastrukturą podziemną, oświetleniem, trybunami dla publiczności oraz boiskowymi wiatami dla zawodników i trenerów.

W ramach realizacji projektu położono też nowoczesną, ekologiczną nawierzchnię, zbudowaną ze specjalnego drzewnego granulatu. I właśnie ona budziła zimą niemałe kontrowersje, szczególnie wśród rodziców małych piłkarzy trenujących w ramach Akademii Piłkarskiej Gwardii Koszalin. Chodziło o to, że ekologiczny korek z którego zbudowana jest nawierzchnia źle się sprawdzał w czasie bardzo niskich temperatur (cała płyta boiska robiła się bardzo śliska). Nawierzchnia sprawiała trudności na tyle, że treningi były ograniczane lub przenoszone na inny obiekt.

FOT. DAWID JAŚKIEWICZ

Drugie euroboisko zostało otwarte 16 listopada 2025 roku

Jakiś czas temu koszaliński Zarząd Obiektów Sportowych ogłosił, że pierwsze miesiące funkcjonowania euroboiska zostaną podsumowane i poddane analizie. Miało też dojść do spotkania z wykonawcą, w trakcie którego miano się wspólnie zastanowić, czy można poprawić parametry położonej nawierzchni, aby ta lepiej funkcjonowała zimą.

- I takie spotkanie jest już za nami. Spotkaliśmy się z wykonawcą, omówiliśmy to, jak od otwarcia euroboiska ten obiekt funkcjonuje, w tym oczywiście także temat samej nawierzchni - mówi Monika Tkaczyk, prezes ZOS w Koszalinie. - I wspólnie doszliśmy do wniosku, że z ewentualną poprawą murawy poczekamy do następnego roku. Poprzednia zima była ekstremalna jeśli chodzi o niskie temperatury, chcemy więc zobaczyć jak boisko będzie funkcjonować w trakcie normalnej, przeciętnej zimy, która zdarza się przecież znacznie częściej – tłumaczy nasza rozmówczyni.

eprasa.pl e73f62faec

AKCJA CHARYTATYWNA 0211545624

eprasa.pl e73f62faec

PROFILAKTYKA

Zmieniony charakter pisma może być ważnym sygnałem ostrzegawczym. Na to zwróć uwagę

Twoje pismo to zaskakująco czuły wskaźnik stanu twojego zdrowia. W niektórych chorobach charakter pisma ulega zauważalnym zmianom, które mogą być pierwszym sygnałem ostrzegawczym przed poważnymi dolegliwościami

Katarzyna Wąś-Zaniuk

Pismo ręczne jest efektem niezwykle złożonej współpracy mózgu, układu nerwowego, mięśni oraz narządów ruchu. Każdy zapis odręczny powstaje dzięki skoordynowanej pracy wielu struktur odpowiedzialnych za planowanie ruchu, jego kontrolę oraz wykonanie. Z tego powodu wszelkie zmiany zachodzące w organizmie człowieka – związane z wiekiem, chorobą lub urazem – mogą znaleźć odzwierciedlenie w wyglądzie pisma ręcznego.

FOT. GETTY IMAGES

Do wczesnych, często niedocenianych objawów różnych chorób należą także subtelne zmiany w piśmie

Choroba Alzheimera

U osób dotkniętych chorobą Alzheimera można zaobserwować stopniowe pogarszanie się sprawności językowej, która wcześniej funkcjonowała bez zarzutu. Jednym z wczesnych sygnałów może być pojawienie się błędów ortograficznych. Chory zaczyna mylić litery, pomijać niektóre znaki lub wstawiać zbędne. Równocześnie zauważalne stają się deformacje gramatyczne: niewłaściwe odmiany wyrazów, naruszenia zasad składniowych, a także brak konsekwencji w stosowaniu interpunkcji.

Niektóre osoby zaczynają nieświadomie zmieniać sposób zapisu, np. przechodząc w trakcie jednego słowa z kursywy do druku, co może wynikać z zaburzeń koordynacji wzrokowo-ruchowej oraz postępującego osłabienia kontroli nad motoryką drobną.

Choroba Parkinsona

Zaliczana jest do grupy schorzeń neurodegeneracyjnych, czyli takich, w których dochodzi do stopniowego zaniku komórek nerwowych. W tym konkretnym przypadku uszkodzeniu ulega przede wszystkim tzw. istota czarna mózgu – obszar odpowiedzialny za wytwarzanie dopaminy. Ten neuroprzekaźnik odgrywa kluczową rolę w regulacji ruchów ciała, napięcia mięśniowego oraz utrzymaniu prawidłowej postawy.

Gdy poziom dopaminy w mózgu zaczyna spadać, pojawiają się pierwsze symptomy choroby. Wśród nich najczęściej obserwuje się spowolnienie ruchów (bradykinezję), sztywność mięśni, ubogą mimikę twarzy oraz charakterystyczne drżenie kończyn, zwłaszcza dłoni.

Do wczesnych, często niedocenianych objawów należą także subtelne zmiany w piśmie. W przypadku choroby Parkinsona może to być tzw. mikrografia, czyli stopniowe zmniejszanie się liter i ścieśnianie pisma w miarę pisania.

Początkowo objaw ten bywa lekceważony lub przypisywany zmęczeniu, jednak może być jednym z pierwszych sygnałów rozwijającego się zaburzenia neurologicznego. Wraz z postępem choroby mogą pojawić się również zaburzenia snu, trudności w przełykaniu pokarmów czy problemy z mówieniem.

Choroba ta rozwija się w sposób powolny, lecz nieubłagany. W zaawansowanym stadium dochodzi do zaburzeń równowagi, pochylonej postawy ciała oraz trudności w wykonywaniu codziennych czynności, nawet tak podstawowych, jak mycie zębów, jedzenie posiłków, kąpanie czy zakładanie ubrań.

Wpływ udaru mózgu na charakter pisma

Udar mózgu może gwałtownie zaburzyć zdolność pisania i czytania. Dzieje się tak, ponieważ w wyniku nagłego przerwania dopływu krwi do mózgu (np. przez zator lub pęknięcie naczynia) dochodzi do uszkodzenia obszarów odpowiedzialnych za funkcje językowe i ruchowe.

Jeśli udar dotknie lewą półkulę mózgu (u większości osób odpowiedzialną za mowę i język), chory może mieć trudności z rozumieniem słów, czytaniem, składaniem liter w wyrazy lub formułowaniem logicznych zdań. Zjawisko to nazywane jest afazją.

Równocześnie, jeśli uszkodzenie obejmie rejony odpowiadające za precyzyjne ruchy ręki, pojawia się problem z pisaniem. Litery mogą być koślawe, chaotyczne lub chory nie potrafi ich już odwzorować (tzw. agrafia).

Czy charakter pisma może świadczyć o schizofrenii?

Badania naukowe wskazują, że charakterystyczną cechą pisma osób ze schizofrenią są zmiany w proporcjach liter, szczególnie elementów śródlinijnych.

Oznacza to, że części liter, które zwykle znajdują się na linii pisma (np. korpusy liter takich jak „a", „e", „o") mogą być albo wyraźnie powiększone, albo pomniejszone.

Natomiast elementy wystające ponad linię pisma (np. pionowe kreski liter „t", „l") oraz te sięgające poniżej linii (np. ogonki liter „g", „y") pozostają względnie stabilne pod względem rozmiaru.

Taka nierówność w budowie liter może być skutkiem zaburzeń motorycznych i deficytów w kontroli ruchów, które są częstym objawem schizofrenii.

REKLAMA
0011550896

eprasa.pl e73f62faec

FOKUS

• **Coraz więcej samochodów** użytkowanych jest w formie wynajmu długoterminowego

POLITYKA

Karol Nawrocki. Rok prezydentury. Walka z rządem, budowanie swojej pozycji

Pierwszy rok prezydentury Karola Nawrockiego był naznaczony wetami i nieustanną wojną z ekipą Donalda Tuska. Trudno zakładać, żeby w najbliższym czasie coś się miało zmienić

Dorota Kowalska

6 sierpnia minął rok od zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. I jeśli ktoś zakładał, że będzie to rok pełen politycznych emocji, ciągłych sporów nowego prezydenta z rządem Donalda Tuska i jego walki o rząd dusz na prawicy, nie pomylił się ani na jotę.

Najlepiej zresztą podsumował to premier Tusk, pytany o sytuację na prawicy i rok prezydentury Karola Nawrockiego. – Z całą pewnością na prawicy zawodnikiem wagi ciężkiej jest prezydent Nawrocki – ocenił. – Nie mówię tutaj o gabarytach i o boksie, tylko o tym chyba nie do końca przewidzianym przez Kaczyńskiego pojedynku między nimi. Moim zdaniem Kaczyński nie ma szans – podsumował szef rządu.

Dodał, że z okazji rocznicy powstrzyma się od „przesadnie złośliwych uwag", ale wskazał trzy decyzje prezydenta, które, jego zdaniem, miały szczególne znaczenie. I w tym kontekście wymienił weto wobec europejskiego programu SAFE, ułaskawienie „Starucha" oraz weto wobec ustawy regulującej status osoby najbliższej.

Owszem, rozmawia z Karolem Nawrockim, ale jak zaznaczył premier, te rozmowy odbywają się zawsze z jego inicjatywy. Ostatnia dotyczyła rosyjskiej rakiety, która spadła w województwie lubelskim.

No cóż, rządzący lekko z prezydentem nie mają, ale, powiedzmy sobie szczerze, można się było tego spodziewać już w czasie kampanii prezydenckiej. Prezydent Nawrocki nigdy nie ukrywał, że uważa Donalda Tuska za najgorszego premiera III RP i zrobi wszystko, aby utrudnić życie koalicji 15 października i odsunąć ją od władzy. Słowa dotrzymał. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu pierwszego roku swojej prezydentury podpisał 243 ustawy, ale 41 zawetował. Więcej niż wszyscy dotychczasowi prezydenci – nawet ci, którzy swój urząd sprawowali dwie kadencje. Może stąd przydomek „wetomat".

Niektórzy komentatorzy sceny politycznej zwrócili uwagę, że prezydent zachowuje się jak „nadpremier", w każdym razie próbuje nadać ton pracom ekipie Donalda Tuska. Najwidoczniej zauważył to także sam Tusk, pewnie stąd jego słowa o tym, że „prezydent jest od reprezentowania, a rząd od rządzenia".

FOT. PAP

Właśnie mija rok od zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta Polski

Ale prezydent Nawrocki robi swoje i tam gdzie może, mówi: nie. W połowie listopada Pałac Prezydencki zablokował awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Nawrocki odmówił także przyznania odznaczeń i orderów funkcjonariuszom ABW, także tym, którzy mieli zostać odznaczeni w związku ze zwalczaniem wrogich aktów dywersji.

Wszystko zmieniło się w kwietniu tego roku – prezydent Karol Nawrocki nagle podpisał 96 nominacji oficerskich dla funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i nadał odznaczenia państwowe.

Wcześniej Nawrocki nie zgodził się na nominację 46 sędziów. Każdy z tych sędziów podpisał wcześniej dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

Prezydent nie zgadza się też na wiele nominacji ambasadorskich i nie przyjmuje ślubowania od części wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Z drugiej strony, premier Donald Tusk kilkukrotnie odmówił kontrasygnaty decyzji prezydenta, nie chce iść na kompromis w kwestii wyboru niektórych ambasadorów czy ustaw przygotowanych w Pałacu Prezydenckim.

Jedni mówią więc o wojnie totalnej, inni o „nie najlepszych stosunkach małego i dużego pałacu".

Na szczęście w poważnych sprawach, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo kraju, premier z prezydentem współpracują. Mowa o wlocie nad Polskę rosyjskich dronów we wrześniu 2025 roku czy ostatnim naruszeniu polskiej przestrzeni przez pocisk z Rosji. Jedyna rzecz, jaka poróżniła w tej kwestii Pałac Prezydencki i Kancelarię Premiera, to unijny program SAFE. Rząd postawił jednak na swoim i, mimo weta prezydenta, z programu skorzystał.

Karol Nawrocki walczy jednak nie tylko z rządem Donalda Tuska, walczy także o rząd dusz na prawicy, ale jedno z drugim jest ściśle powiązane.

– Nawrocki i szefowie jego gabinetu mają świadomość, że mogą przejąć rząd dusz nad prawą stroną, że Jarosław Kaczyński jednak przestaje dawać radę. Ale nie wieszczę końca Jarosława Kaczyńskiego. Natomiast jest bliżej końca niż początku. W związku z tym Karol Nawrocki wszedł tu ze swoją polityką „z buta". Zresztą jest to bardzo dobre z punktu widzenia jego PR-u politycznego – mówił już w styczniu tego roku w podcaście „Strefa Wpływów" ekspert ds. marketingu politycznego dr Mirosław Oczkoś.

W artykule opublikowanym w środę, 5 sierpnia, na stronie internetowej francuskiego dziennika „Le Monde" czytamy, że Karol Nawrocki „nie ukrywa swoich ambicji zdominowania całej polskiej prawicy, nawet jeśli oznacza to okazanie pobłażliwości rosnącej w siłę skrajnej prawicy".

I nie są to słowa na wyrost. Jak wynika z najnowszym sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski 20,4 proc. badanych uważa, że to Karol Nawrocki jest obecnie faktycznym liderem obozu polskiej prawicy. Na prezydenta wskazało więcej osób niż na Jarosława Kaczyńskiego, który zdobył 19,8 proc. głosów. Największy odsetek Polaków uważa jednak, że polska prawica nie ma dziś jednoznacznego przywódcy.

Karol Nawrocki w ogóle cieszy się popularnością wśród Polaków. Rok po jego wyborze na urząd prezydenta utrzymuje bardzo wysokie notowania. Pod koniec lipca CBOS podał, że jego działalność pozytywnie ocenia aż 56 procent badanych. To najwyższy wynik głowy państwa od początku jego kadencji. Podobnie jest w przypadku rankingów zaufania. Badanie IBRiS dla Onetu, opublikowane w ostatnim tygodniu lipca, pokazuje, że Nawrockiemu ufa 51,3 procent ankietowanych, co jest najlepszym wynikiem wśród polityków. Jednocześnie nieufność wobec prezydenta deklaruje 41,6 procent badanych.

To świetny wynik. Karol Nawrocki buduje się politycznie, chwali dobrymi relacjami z prezydentem Donaldem Trumpem, jeździ po Polsce i świecie. Jest tylko jedno „ale": w kampanii prezydenckiej zapowiadał, że chce być prezydentem sprawczym i aktywnym. Póki co, jego aktywność sprowadza się głównie do wetowania ważnych dla rządu ustaw i wychodzenia z inicjatywami, które z góry skazane są na porażkę i z których kompletnie nic dla nas nie wynika.

PAP

KRÓTKO

mObywatel

Sprawdź, czy masz ważne dokumenty

Ministerstwo Cyfryzacji przypomina, że dokumenty użytkowników, którzy do środy nie zalogowali się do aplikacji mObywatel wygasły i konieczne jest przywrócenie ich ważności. Niezbędne to tego będzie m.in. użycie e-dowodu lub profilu zaufanego, a w przypadku legitymacji wygenerowanie kodu QR. PAP

Wągrowiec

Dwaj chłopcy utonęli w jeziorze

Dwaj chłopcy w wieku 13 lat utonęli w środę po południu w Jeziorze Durowskim. Wyciągnięto ich z wody po kilkudziesięciu minutach poszukiwań. Zgłoszenie o zdarzeniu służby dostały po godzinie 14. Dzieci były pod wodą około 40 minut. Do tragedii doszło kilka metrów od brzegu, na niestrzeżonej plaży. Kiedy jeden z chłopców zaczął tonąć – drugi ruszył mu na pomoc. Reanimacja obu chłopców trwała około godziny. Lekarz LPR stwierdził ich zgon. Trwa wyjaśnianie okoliczności zdarzenia. PAP

Sąd

Ma przeprosić i wpłacić 10 tys. na hospicjum

Wiceprzewodnicząca KO Izabela Leszczyna musi przeprosić b. wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła za słowa, że roztoczył on „parasol ochronny" nad jedną z firm pożyczkowych, i że ustawa dla niepoznaki nazywa się antylichwiarską. Ma także wpłacić 10 tys. zł na dziecięce hospicjum w Rzeszowie – zdecydował Sąd Apelacyjny w Rzeszowie. Rozstrzygnięcie SA jest prawomocne. Stronom przysługuje kasacja. PAP

FOT. ADAM JANKOWSKI

Wszystkie zmiany w podatkach muszą być zgodne z naszymi zobowiązaniami wobec partnerów z Unii Europejskiej

ANDRZEJ DOMAŃSKI
minister finansów i gospodarki

eprasa.pl e73f62faec

NIEMCY

Ekstremalne upały winne śmierci około 9,6 tys. osób. Tylko w jednym tygodniu

Anna Nagel

W następstwie ekstremalnych upałów w tygodniu od 22 do 28 czerwca, gdy w wielu miejscach w Niemczech temperatura sięgała 40 stopni, zmarło około 9,6 tys. osób. To prawie dwa razy więcej, niż wcześniej szacowano.

Pierwotnie Instytut Roberta Kocha (RKI) podawał dla tego okresu ponad 5 tys. zgonów z powodu ekstremalnych upałów.

Według RKI łącznie liczba tegorocznych zgonów związanych z upałami wzrosła do około 11,9 tys. Jak podał instytut, to znacznie więcej niż w którymkolwiek pełnym roku od 2016 r. Najwięcej ofiar upałów w Niemczech odnotowano do tej pory w 2018 roku – około 9 tys.

RKI podkreślił, że ekstremalnie wysokie temperatury są groźne przede wszystkim dla osób starszych. Ponad 6 tys. zgonów w tygodniu pod koniec czerwca dotyczyło osób w wieku 85 lat i więcej, blisko 3 tys. osób w wieku od 75 do 84 lat. Wśród osób poniżej 65. roku życia odnotowano ponad 1,1 tys. zgonów.

Jak podał RKI, od 22 do 28 czerwca średnia tygodniowa temperatura w Niemczech wyniosła 26,4 stopnia, to znacznie powyżej progu 20 stopni, od którego zwykle rośnie śmiertelność związana z upałem.

Z danych Niemieckiej Służby Meteorologicznej wynika, że tegoroczny czerwiec był w Niemczech drugim najcieplejszym od początku pomiarów. Odnotowano najwyższą temperaturę w historii kraju – 41,7 stopnia w Neissemuende-Coschen (Brandenburgia), przy granicy z Polską. Noc z 27 na 28 czerwca była z kolei najcieplejsza w dziejach obserwacji.

Federalna Izba Lekarska, około 80 innych europejskich organizacji ochrony zdrowia oraz organizacje ekologiczne domagają się od Niemiec i UE podjęcia większych działań na rzecz ochrony przed upałami. Apelują m.in. o dostosowanie placówek opiekuńczych, żłobków, przedszkoli i szkół do warunków klimatycznych. PAP

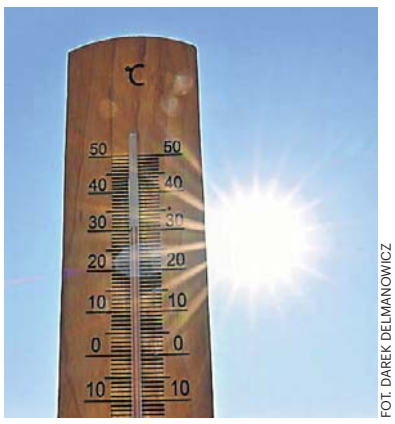

FOT. DAREK DELMANOWICZ

Ekstremalnie wysokie temperatury są groźne przede wszystkim dla osób starszych

CZECHY

Miały być żywe krowy zamiast konserw, ale nie było chętnych

Anna Nagel

Zarząd Państwowych Rezerw Materiałowych (SSHR) chciał mieć w strategicznych zapasach żywe krowy na pastwisku. Do pierwszego w historii przetargu nikt się jednak nie zgłosił.

Przetarg przewidywał, że strategiczne stado miało liczyć łącznie 240 ton rzeźnych krów i byków. Rolnik, który miałby się opiekować takimi zwierzętami, musiałby zagwarantować, że będą one zawsze dostępne i gotowe do uboju w wymaganej liczbie.

„Byliśmy tym nieco rozczarowani, ponieważ wcześniej słyszeliśmy, że to wspaniały pomysł. Nie było żadnych zastrzeżeń, uwag ani pytań dotyczących zamówienia, ale ostatecznie nikt się nie zgłosił. Trudno spekulować, dlaczego" – powiedział portalowi szef SSHR Pavel Szvagr.

Jego zdaniem utrzymywanie żywego stada jest tańsze, niż przechowywanie mrożonych zapasów mięsa, które i tak muszą być regularnie odnawiane. Ponadto podaż mrożonego mięsa na rynku jest ograniczona.

SSHR ogłosi teraz ponownie przetarg z nieznacznie zmienionymi parametrami. W przyszłości państwo chce mieć w strategicznej rezerwie jedną trzecią mięsa w postaci żywego stada, jedną trzecią w konserwach i jedną trzecią w postaci innych produktów mięsnych.

Rezerwy materiałowe Czech są przechowywane w kilkudziesięciu magazynach. Część z tych lokalizacji jest utajniona. SSHR dysponuje aktywami o wartości kilkudziesięciu miliardów koron. PAP

SPOTKANIE

Polska-Ukraina. Jest wola i pomysły, jak poprawić relacje

Anna Nagel

Paweł Kowal, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych i szef rady ds. współpracy z Ukrainą, spotkał się w Kijowie z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Andrijem Sybihą. Ocenił, że po stronie ukraińskiej jest dobra wola i pomysły, jak poprawiać relacje między dwoma krajami.

FOT. EASTNEWS

FOT. PAP/EPA

Spotkanie Pawła Kowala i Andrija Sybihy było okazją, by „krok po kroku przedyskutować pozytywne i problematyczne kwestie w relacjach polsko-ukraińskich"

„Problemy są, były i będą – tak jest między sąsiadami. Naszym obowiązkiem jest je rozwiązywać ku obopólnej korzyści naszych narodów. (...) ! Dziękuję Panie Ministrze za zaproszenie, za czas i możliwość pogłębionej rozmowy z Panem oraz kręgiem ukraińskich dyplomatów zaangażowanych w relacje polsko-ukraińskie. Czuło się, że jest dobra wola i pomysły, jak poprawiać nasze relacje" – napisał Kowal na Facebooku po rozmowach, które odbyły się w środę.

Polityk poinformował, że spotkanie było okazją, by „krok po kroku przedyskutować pozytywne (które dominują) i problematyczne kwestie w naszych relacjach w szerszym międzynarodowym planie w kontekście ustaleń pana premiera RP Donalda Tuska i pana prezydenta Ukrainy W. (Wołodymyra) Zełenskiego.

Sybiha, komentując rozmowy z Kowalem na platformie X napisał, że ich tematem było wzmacnianie partnerstwa strategicznego, pogłębianie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, rozwijanie praktycznych inicjatyw dwustronnych oraz utrzymywanie ścisłych kontaktów na wszystkich szczeblach.

„Bezpieczeństwo regionalne pozostaje naszym wspólnym priorytetem. Omówiliśmy praktyczne sposoby pogłębienia współpracy w tym zakresie, ze szczególnym uwzględnieniem wzmocnienia zdolności obrony powietrznej Ukrainy. Niedawne wtargnięcie rosyjskiej rakiety na terytorium Polski po raz kolejny pokazało, że rosyjska agresja wpływa na bezpieczeństwo całego regionu" – podkreślił Sybiha.

Przekazał, że rozmawiano także o odbudowie Ukrainy i większym zaangażowaniu w nią polskich firm, a także o wspólnych projektach, dla których impulsem była czerwcowa Konferencja na rzecz Odbudowy Ukrainy (URC2026) w Gdańsku.

„Pielęgnowanie pamięci historycznej oraz rozwiązywanie innych istotnych kwestii z wzajemnym szacunkiem powinny stanowić fundament silnych relacji między naszymi narodami. Jestem wdzięczny Polsce za przywództwo i wsparcie udzielane Ukrainie od pierwszego dnia pełnoskalowej rosyjskiej inwazji. Jestem przekonany, że będziemy nadal wspólnie rozwijać pragmatyczne, dobrosąsiedzkie relacje" – napisał na X.

Kowal rozpoczął wizytę na Ukrainie w poniedziałek. Spotkał się w Kijowie z wiceszefową kancelarii prezydenta Iryną Wereszczuk. Tematem rozmów były ekshumacje ofiar zbrodni wołyńskiej oraz dialog historyczny między Polską a Ukrainą, a także udział Polski w powojennej odbudowie Ukrainy.

W środę Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego poinformował, że Kowal współprzewodniczył także spotkaniu polsko-ukraińskiej Grupy Roboczej ds. Godnych Pochówków, która odbyła się we Lwowie. Jego tematem było podsumowanie dotychczasowych prac prowadzonych w Ukrainie oraz polskie wnioski dotyczące poszukiwań w Ugłach, Wiśniowcu, Hucisku oraz Miedziakach. Ukrainę reprezentował wiceminister kultury Iwan Werbycki. PAP

UKRAINA

Była ambasadorka w USA ma wpłacić 6 mln hrywien

Alina Mazurska

Wyższy Sąd Antykorupcyjny Ukrainy (WAKS) zastosował środek zapobiegawczy wobec byłej ambasadorki Ukrainy w USA Olhy Stefaniszyny. Jest ona podejrzana o nielegalne wzbogacenie się i ma wpłacić 6 mln hrywien kaucji, równowartość ok. 500 tys. złotych.

Portal Suspilne podał, że Stefaniszyna ma również obowiązek stawiania się na wezwanie detektywów Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy (NABU), informowania o zmianie miejsca zamieszkania oraz powstrzymania się od kontaktów ze świadkami w swojej sprawie.

Stefaniszyna jest podejrzana o nielegalne wzbogacenie i złożenie nieprawdziwego oświadczenia majątkowego. Według śledczych nie zadeklarowała dwóch mieszkań w Kijowie, wydatków na ich remont, kosztów wynajmu mieszkania, korzystania z samochodu marki Mercedes, a także opłacenia biletów lotniczych i leczenia swojej matki.

Po ujawnieniu informacji o podejrzeniach Stefaniszyna odniosła się do sprawy, podkreślając, że kwestie dotyczące nieruchomości „publicznie i szczegółowo wyjaśniła ponad rok temu" oraz że „nie miała i nie ma nic do ukrycia" – napisała agencja Interfax-Ukraina.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski wydał 3 sierpnia dekret, którym Stefaniszyna została zwolniona ze stanowiska ambasadora w Stanach Zjednoczonych. PAP

eprasa.pl e73f62faec

tygodnik
Regionów

Piątek, 7.08.2026

Podróże

Grzegorz Stenka z powiatu słupskiego jedzie rowerem z północy na południe świata

– Str. 14

Sport

Chłopaki do wielkiej gry, tańca i różańca. Drużyna Wagnera – mistrzowie olimpijscy

– Str. 13

FOT. JAKUB ROSZKOWSKI

Tour de Pologne zawitał do województwa zachodniopomorskiego

Pierwszy etap prowadził przez Kaszuby, a zakończył się w Koszalinie. Drugi rozpoczął w Międzyzdrojach, a zakończył na szczecińskich Błoniach. Po 24 latach dominowania na południu kraju Tour de Pologne zawitał do naszego regionu – Str. 10

eprasa.pl e73f62faec

SPORT

Tour de Pologne po latach zawitał ponownie do województwa zachodniopomorskiego

Pierwszy etap prowadził przez Kaszuby, a zakończył się w Koszalinie. Drugi rozpoczął w Międzyzdrojach, a zakończył na szczecińskich Błoniach. Po 24 latach dominowania na południu kraju Tour de Pologne, jeden z najważniejszych wyścigów kolarskich w Europie, zawitał ponownie do województwa zachodniopomorskiego.

FOT. ADAM WARŻAWA/PAPA

Jakub Roszkowski

Polanów, Sianów, Koszalin, a wcześniej Kołczygłowy, Półczno, Bytów - to miejscowości w regionie słupskim i koszalińskim, przez które ze średnią prędkością nawet 50 km/h przejechał peleton zawodowych kolarzy z najlepszych drużyn na świecie. Czesław Lang, wybitny polski kolarz, a dziś dyrektor generalny Tour de Pologne, poprowadził tegoroczny wyścig przez swoje rodzinne strony. Lang jest wychowankiem Baszty Bytów, a w Półcznie i Kołczygłowach wychowywał się jako dziecko.

Tour de Pologne 2026 wystartował z Gdyni, pierwszy etap był najdłuższy, liczył aż 258 kilometrów, a finisz nastąpił w Koszalinie. Tutaj już od południa odbywały się imprezy towarzyszące, między innymi wyścigi młodzików. Centrum miasta wypełniło się kibicami. Organizatorzy szacowali, że tylko w śródmieściu Koszalina kolarzy dopingowało około 4-5 tysięcy osób.

Peleton wjechał do miasta ulicą Słupską, z dużą prędkością zjeżdżając z Góry Chełmskiej, na której wyznaczona była pierwsza premia górska wyścigu. Kolarze, jadąc około 55 km/h przejechali ulicą Piłsudskiego do ronda przy stacji Orlen, by skręcić tu w ul. Kościuszki, a dalej Aleją Monte Cassino dojechać do Alei Armii Krajowej. Już na wysokości budowanego dworca kolejowego rozpoczęli finisz. Gdy skręcili w ul. Zwycięstwa licznik pokazywał 70-80 km/h. Wręcz lecieli lewym pa-

FOT. MICHAŁ BORKOWSKI

eprasa.pl e73f62faec

FOT. MICHAŁ BORKOWSKI

FOT. MICHAŁ BORKOWSKI

FOT. RADOSŁAW BRZOSTEK

sem tej ulicy, otoczonym reklamami, więc wyglądającym jak naprawdę wąska rynna. Ulica Zwycięstwa 200 metrów dalej zaczyna jednak stawać się stroma, więc peleton nieco zwolnił, choć i tak Włoch Jonathan Milan pędził już - pompował, jak mówią znawcy kolarstwa - niemal jak na złamanie karku. I wygrał. Nic dziwnego, to jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy kolarski sprinter na świecie. Tłumy ludzi oklaskiwały zwycięzcę na podium ustawionym przed koszalińskim ratuszem. Dopisała też pogoda, było słonecznie, ciepło, Koszalin odwiedziło też sporo wczasowiczów z Mielna, Sarbinowa, Ustronia Morskiego i Kołobrzegu.

Kolejnego dnia kolarze ruszyli na trasę drugiego etapu, który prowadził z Międzyzdrojów do Szczecina. Również oklaskiwały ich tysiące kibiców, a zwycięzcą tego etapu okazał się ponownie Włoch Jonathan Milan.

REKLAMA 0011561856

eprasa.pl e73f62faec

HISTORIA

90 lat gorących sporów o kolejkę na Kasprowy Wierch

Budowa kolejki linowej na Kasprowy Wierch była przedsięwzięciem nie tylko ekonomicznym, ale też prestiżowym i symbolicznym. Ale co ciekawe – od początku wywoływała fale protestów

Mariusz Grabowski

Budowa kolejki pociągnęła za sobą kolejne tatrzańskie inwestycje: wybudowane w 1936 r. Wysokogórskie Obserwatorium na Kasprowym Wierchu, tzw. ceprostradę znad Morskiego Oka na Szpiglasową Przełęcz z 1937 r., a także m.in. o rok późniejszy hotel na Kalatówkach.

Pomysł z góry

Studia terenowe i pomiary, mające ustalić przebieg trasy kolei, rozpoczęło – na zlecenie Ministerstwa Komunikacji – Centralne Biuro Studiów i Projektów PKP już wiosną 1934 r. Decyzja budowy zapadła w lipcu 1935 r. Inwestorem była specjalnie powołana spółka z o.o. pod nazwą „Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Kolei Linowej Zakopane (Kuźnice) – Kasprowy Wierch" z siedzibą w Warszawie.

Główną rolę w powstaniu projektu odegrał inż. Aleksander Bobkowski (1886-1966), absolwent Politechniki Lwowskiej i Wiedeńskiej stryj pisarza emigracyjnego Andrzeja Bobkowskiego, autora dziennika „Szkice piórkiem"). Kierownikiem budowy został inż. Medard Stadnicki, zastępcą inż. Borysław Lange. Harmonogram prac przewidywał rekordowo krótki czas budowy: siedem miesięcy.

Ponieważ żadne przedsiębiorstwo nie było w stanie przyjąć takich warunków postanowiono prowadzić budowę systemem gospodarczym. Stan załogi, który wynosił początkowo ok. 600 osób, w dwóch ostatnich miesiącach zwiększono do tysiąca. Robotników werbowano nie tylko z Podhala, ale i Sądecczyzny, Krakowa, Tarnowa, a nawet z Wileńszczyzny. Zatrudniono wykwalifikowanych kamieniarzy z Brasławia oraz traczy i cieśli z Polesia.

Oblicza się, że koszt budowy kolei wyniósł przeszło 3,5 mln zł i zwrócił się jeszcze przed wybuchem wojny. Na górnej stacji umieszczono w 1936 r. zachowane do dzisiaj polskie godło w stylu art déco.

„Nie" prof. Szafera

Aż trudno uwierzyć, ale budowa kolei wywołała społeczną burzę i awantury. Od chwili ujawnienia projektów w marcu 1934 r. protestowali przeciwko niej przede wszystkim ówcześni działacze ochrony przyrody. Prócz Państwowej Rady Ochrony Przyrody przeciwne budowie były również aż 94 towarzystwa i instytucje naukowe i turystyczne.

W odpowiedzi na rozpoczęcie budowy kolei i – jak argumentowano – łamania obowiązującego wtedy prawa (rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o ochronie lasów, o prawie budowlanym, ustawie o ochronie przyrody, ustawie o koncesjach na koleje i inne) do dymisji podała się cała ówczesna Państwowa Rada Ochrony Przyrody wraz z przewodniczącym Komitetu Ochrony Przyrody w Krakowie – prof. Władysławem Szaferem. Dymisja nie została jednak przyjęta.

Stanowisko prof. Szafera, botanika, dyrektor krakowskiego Ogrodu Botanicznego, można próbować usprawiedliwić. W tle sporów o budowę kolei linowej obecna była, sięgająca XIX w., walka o ochronę Tatr, w szczególności o utworzenie w Tatrach parku narodowego. Formalnie Tatrzański Park Narodowy został utworzony dopiero na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z 30 października 1954 r.

Dwa obozy, dwie racje

Jak pisze Janusz Stochlak w tekście „Kolej linowa na Kasprowy Wierch jako źródło podziałów i perspektywa przyszłego rozwoju turystyki" już sama zapowiedź budowy kolei linowej na Kasprowy wywołała „(...) skandal, który podzielił wówczas kraj na dwa wrogie obozy i przybierał chwilami podobieństwo do »Sprawy Dreyfusa« we Francji. Starły racje dwóch wrogich obozów. Pierwszy obóz nazwać można »ochroniarzami«, a drugi »bobkociągowcami«, który nawiązuje do popularnej wśród najstarszych górali przedwojennej nazwy kolei »bobkociąg«.

Na VII Zjeździe Delegatów Ligi Ochrony Przyrody, który odbył się 15 grudnia 1935 r. w Warszawie, prof. Szafer wygłosił referat: „Tatrzański Park Narodowy a kolej linowa", w którym zwrócił uwagę, że „w sporze o kolej nie chodzi jedynie o tę inwestycję, ale także o inne sprawy, o początek wdzierania się w głąb nieskalanej dotychczas przyrody, zbędnych udoskonaleń cywilizacji oraz o samowoli czynników administracyjnych, które pogwałciły brutalnie dotychczasowe zwyczaje rozpatrywania i rozstrzygania w Polsce spraw dotyczących kultury i dóbr ogólnonarodowych".

Z kolei dla »bobkociągowców«, w tym głównie czynników oficjalnych, budowa kolejki linowej na Kasprowy była „logicznym członem w łańcuchu dokonań, które zmierzały do rozszerzenia turystyki wśród mas". „U nas Tatry, pod wpływem starych pawianów z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, stały się przenajświętszym sakramentem, górskim chramem, wawelem, do którego przed wejściem trzeba było umoczyć palce w święconej wodzie PTT, przyklęknąć, przeżegnać się w imię św. Walerego i innych kameleonów, po czym oniemieć w obliczu majestatu Rysów" – kpił Andrzej Bobkowski w jednym z listów do stryja.

Idee Andrzeja Biernata

Na początku XXI w. dawny spór o sens kolei odżył przy okazji modernizacji polegającej m.in. na dwukrotnym zwiększeniu jej przepustowości. W 2007 r. zamontowano nowe wagoniki, co – podobnie jak w 1934 r. – wywołało liczne protesty naukowców, w tym przyrodników, ekologów, i sprzeciw części społeczeństwa.

W latach 2011-2012 nastąpiło kolejne zamieszanie wokół kolejki, tym razem głównie polityczne. Polskie Koleje Linowe w związku z długami PKP SA postanowiły dokonać jej prywatyzacji. Wywołało to protesty parlamentarzystów z różnych opcji politycznych, prezydenta RP i społeczności lokalnych. Minister Jan Szyszko, wówczas były minister środowiska w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, zwrócił się do prezydenta Bronisława Komorowskiego o przeprowadzenie zbiórki na rzecz wykupienia od PKP SA kolejki linowej na Kasprowy Wierch, by później przekazać ją Tatrzańskiemu Parkowi Narodowemu.

Warto też odnotować jeden z najdziwniejszych pomysłów inwestycyjnych związanych z rejonem Kasprowego Wierchu, a poniekąd z kolejką. Należał on w 2013 r. do Andrzeja Biernata, ministra Sportu i Turystyki w rządzie Ewy Kopacz, a polegał na budowie sztucznego zbiornika w tym rejonie. Pochodząca zeń woda miałaby być wykorzystywana do sztucznego naśnieżania tras w Tatrach. Idea wywołała on ostrą krytykę i protesty m.in. dyrekcji TPN i ekologów, i w głównej mierze dzięki nim pomysł ten nie został zrealizowany.

Turystyczna wizytówka

Przedwojenne i współczesne spory o sens kolejki wydają się po prostu anachroniczne. Wbrew dawnym i dzisiejszym „ochroniarzom" kolejka jest trwałym elementem turystycznym polskich Tatr. Jak można przeczytać na stronie Tatrzańskiego Parku Narodowego (tpn.gov.pl), długość trasy pokonywanej przez kolejkę wynosi 4291,59 m, a różnica poziomów to 936 m przy średnim nachyleniu 22 proc. Wagonik jedzie z prędkością 8 m/s (zwalniając do 6 m/s na podporach, których jest 6), przewożąc jednorazowo maksymalnie 60 osób.

W zależności od pory roku dziennie może wywieźć ponad 3 tys. osób, rocznie – ponad 600 tys. Co roku okresowe przeglądy wyłączają kolej z eksploatacji w maju i listopadzie, nie kursuje ona także podczas silnego wiatru (powyżej 20 m/s), oblodzenia i temperatury spadającej poniżej –28 °C.

Na Myślenickich Turniach następuje przesiadka do drugiego wagonika. Następny odcinek trasy jest bardziej stromy – największe przewyższenie wagonika nad terenem wynosi 180 metrów. Z prawej strony widać Goryczkowy Kocioł – zimą użytkowany jako stok narciarski. Wagonik jedzie nad Doliną Suchą Kasprową i dobija do górnej stacji kolejki, znajdującej się na wysokości 1959 m n.p.m., 26 metrów poniżej wierzchołka Kasprowego Wierchu.

FOT. NAC

Oblicza się, że koszt budowy kolejki wyniósł przeszło 3,5 mln zł i zwrócił się jeszcze przed wybuchem wojny

eprasa.pl e73f62faec

SUKCES

Chłopaki do wielkiej gry, tańca i różańca. Drużyna Wagnera – mistrzowie olimpijscy

Jaka fajna drużyna pokonała „Ruskich" i zdobyła mistrzostwo olimpijskie w siatkówce. Przez pół wieku żaden nasz zespół nie powtórzył tego sukcesu

Marek Bluj

Tej lipcowej nocy z 30 na 31 lipca 1976 roku nie spały miliony Polaków. Prawie każdy chciał zobaczyć, jak nasi siatkarze w dalekim Montrealu w finale turnieju olimpijskiego pokonają Związek Radziecki. Gwarancji nie było żadnych, bo Rosjanie grali świetnie, ale nasi jeszcze lepiej. No i trener Hubert Wagner obiecał, że wrócą do kraju ze złotem. Zrobili to!

To był długi mecz, bardzo długi. Zresztą takiego tasiemca wszyscy, tam w Kanadzie i w kraju, się spodziewali. Zaczął się o 2.30. Trwał 2 godziny i 26 minut.

– Dla nas to była pestka. Byliśmy tak napakowani siłą i energią, że mogliśmy grać nawet dwa takie mecze jeden po drugim. Dla nas granie przez dwie, trzy, a nawet cztery godziny nie robiło żadnej różnicy. Trener Hubert Wagner doskonale nas przygotował. Treningi trwały po kilka miesięcy. Było dużo gór. Schodziliśmy całe Tatry, przed Meksykiem byliśmy w Pirenejach. Dużo ćwiczyliśmy z ciężarami. Mówiono o nas mistrzowie piątego seta, bo nigdy nie przegraliśmy tie-breaka. Inne drużyny ciągnęły ostatkiem sił, a my zawsze tryskaliśmy świeżością. W finale i wcześniej mieliśmy też trochę szczęścia, dlatego zawsze powtarzam, że trzeba dobrze grać, ale trzeba mieć też szczęście. To z reguły sprzyja lepszym. Myśmy go mieli – uśmiecha się Marek Karbarz, jeden z trzech muszkieterów z Resovii w „12" trenera Wagnera. Dwaj inni to Bronisław Bebel i Włodzimierz Stefański.

To była złota drużyna, która niko-go się nie bała. Dwa lata wcześniej w Meksyku, 28 października 1974 roku, także prowadzona przez Wagnera reprezentacja Polski zdobyła historyczne złoto mistrzostwo świata. Wygrała wszystkie spotkania. W drodze po mistrzostwo dwukrotnie pokonała ZSRR. Tworzyła team

FOT. ARCHIWUM MARKA KARBARZA

Radość po pokonaniu Rosjan i zdobyciu złotego medalu na olimpiadzie w Montrealu w 1976 roku. W koszulce z numerem 12 Marek Karbarz

na 102. Pod każdym względem.

– Rosjanie w Montrealu pałali chęcią rewanżu za Meksyk. Można powiedzieć, że igrzyska olimpijskie były pewnego rodzaju ciągiem dalszym Meksyku. W kadrze nastąpiły małe zmiany, nie było Staszka Gościniaka, MVP mistrzostw świata,co było dla nas szokiem. Atmosfera w kadrze była jednak bardzo dobra. Lubiliśmy się nawzajem, dobrze się ze sobą czuliśmy. Był duch w tej ekipie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. To nam pomagało w trudnych chwilach, a trochę było ich – dodaje Karbarz.

Zanim w olimpijskim finale doszło do polsko-rosyjskiego starcia, nasi siatkarze bywali w wielkich opałach. – W pierwszym meczu turnieju przegrywaliśmy z Koreą Południową 0:2 w setach, ale od trzeciego zmietliśmy ich z boiska. Z Kubą też wynik był widelcu, bo przeciwnik wygrywał 2:0. Wyrównaliśmy, a w piątej partii zwyciężyliśmy 20:18. Z Japonią było 3;2, ale w tie-breaku już bez nerwów. Było ich za to na pęczki z Rosjanami w finale. Zachowaliśmy olimpijski spokój i wyszliśmy z ogromnych opresji obronną ręką – wspomina mistrz Marek, jak mówią do Karbarza znajomi.

Rzeczywiście, to była bitwa na siatce, niezwykle dramatyczny pojedynek, który przeszedł do historii polskiego sportu. Radziecki zespół prowadził w setach 2:1, a w czwartym miał dwa meczbole. Polacy uciekli jednak spod topora, wyrównali na 2:2. W decydującej piątej odsłonie przegrywali 0:4, ale szybko odrobili straty. Po zmianie stron prowadzili 8:7 i nie dali już przeciwnikom zdobyć punktu. Zwycięski okazał się autowy atak rosyjskiej gwiazdy Władimira Czernyszowa.

„Uwaga, Czernyszow! I aut! Aut, nie było bloku!" – krzyczał do mikrofonu komentujący mecz Wojciech Zieliński. Polacy skakali z radości, a Czernyszow stał i patrzył na ich radość. Był w szoku – nie mógł chyba uwierzyć, że przestrzelił taką piłkę na czystej siatce. Tak się stała historia. Niektórym zawodnikom polały się z oczu łzy radości i szczęścia. Mocno zapracowali wspólnie na ten sukces. – To był zespół, każdemu zawodnikowi należy się szacunek. Ja bez Marka i Marek beze mnie nic byśmy nie wygrali – mówił Tomasz Wójtowicz, prawdziwy as złotej ekipy.

– Tomek cały turniej grał znakomicie i wyskoczył na gwiazdę, ale całe towarzystwo trzymał Edek Skorek, kapitan drużyny. Praktycznie nie musiał trzymać, bo było normalnie, fajnie, nikt się na nikogo ani na nic nie skarżył – wyjaśnia Karbarz.

– Byliście znakomitymi siatkarzami, tworzyliście najlepszą w świecie drużynę, a jakimi byliście ludźmi? – pytam mojego rozmówcę.

- To były przepiękne dni i lata. Wspominam je z ogromnym sentymentem. Byliśmy młodzi, mieliśmy wtedy po dwadzieścia cztery lata. Potrzebowaliśmy się też trochę wyszumieć. Lubiliśmy się zabawić. Przychodziły nam do głowy rozmaite pomysły. Byliśmy chłopakami do tańca i do różańca. Po zakończeniu igrzysk w Montrealu było raczej spokojnie, ale po mistrzostwie świata w Meksyku był trochę „meksyk" – wspomi-na nasz mistrz świata i mistrz olimpijski. – Kiedy po ceremonii medalowej przyjechaliśmy do hotelu, w którym byli Japończycy i inne reprezentacje, to daliśmy czadu. Były śpiewy, tań-ce, hulanki, swawola. W barze nie została an jedna butelka alkoholu. Kiedy na drugi dzień siedzieliśmy w autokarze przed wyjazdem na lotnisko, przybiegł dyrektor hotelu i machał rachunkiem na kilka tysięcy dolarów. Kierownik naszej grupy wziął do ręki ten rachunek i stwierdził stanowczym głosem, że „to jest absolutnie niemożliwe, bo moi chłopcy piją tylko mleko". I odjechaliśmy. Należność za tę „gościnę" uregulowała za nas Federacja Siatkówki Meksyku – przypomina Marek Karbarz.

Po Montrealu Karbarz otrzymał talon na Zastavę. Kupił ją za własne pieniądze. Inni dostali talony na Polonezy i Moskwicze, ale z Zastavy był zadowolony – jeździł nią kilka lat. – Ten złoty medal zdobyty w Montrealu miał ogromny wpływ na moje życie - podkreśla Karbarz.

– Jak ten czas pędzi! To już 50 lat od Montrealu i tamtego złota. Mieliśmy świetnych siatkarzy, drużyny, trenerów, ale żadnej do tej pory nie udało się powtórzyć tamtego sukcesu sprzed pół wieku. To tylko świadczy o tym, jak trudno zdobyć złoty medal. Od Meksyku i Montrealu siatkówka w Polsce stała się bardzo popularna. Polacy ją pokochali i kochają nadal. Cierpliwie czekają, ja zresztą też, na olimpijskie złoto numer 2. Niech się to stanie już na najbliższych igrzyskach – tym życzeniem kończy swoją nie tylko olimpijską opowieść pan Marek.

REKLAMA 0011561466

eprasa.pl e73f62faec

PODRÓŻE

Grzegorz Stenka jedzie rowerem z północy na południe świata. W Maroku zdobył najwyższy szczyt

Grzegorz Stenka, 40-letni podróżnik z Bydlina (powiat słupski), realizuje wyprawę rowerem z koła podbiegunowego do Ushuaia w Argentynie. Aktualnie przebywa w Maroku, gdzie 21 lipca wraz z kolegą wyruszył na najwyższy szczyt północnej Afryki, Tupkal i już go zdobył. Podróżnik łączy wyprawę z akcją charytatywną Kilometry dla Dzieci.

Oprac. Patryk Czerwiński

FOT. MUSZLA ŚW. JAKUBA

Od Bieguna do Bieguna

Grzegorz Stenka ma 40 lat, pochodzi z Bydlina i od zawsze marzył o wielkiej podróży. Teraz to marzenie spełnia. Wyruszył rowerem z koła podbiegunowego, a celem jest Ushuaia w Argentynie, najdalej na południe wysunięte miasto świata. Po drodze zamierza minąć Zwrotnik Raka, równik, pustynię Atacama i Zwrotnik Koziorożca.

Aktualnie przebywa w Maroku. To kraj, który na długo zapadnie mu w pamięć, bo właśnie tutaj postanowił zmierzyć się z Tupkalem, najwyższym szczytem północnej Afryki. Wyprawę na górę zaplanował razem z kolegą Marcinem Kubiakiem i udało im się go zdobyć.

- Ja jadę od koła podbiegunowego do Zwrotnika Raka. Po drodze pojawił się pomysł, żeby wejść na Tupkal - mówi Stenka.

Zdobycie Tupkala - marzenie, które się spełnia

21 lipca, o godzinie 9 rano, podróżnicy wyruszyli na szlak. Pierwszego dnia dotarli do bazy położonej na wysokości 3200 metrów. Plan był ambitny: zdobyć szczyt z rowerami. Niestety, na drodze stanęła żandarmeria, która skontrolowała paszporty i nakazała zostawić jednoślady, które według władz, stwarzały zagrożenie. Mimo to wyprawa jest kontynuowana.

- Jesteśmy na pierwszej bazie na wysokości 3200 metrów i jutro rano, o czwartej, wyruszamy na najwyższy szczyt w Maroku – relacjonował podróżnik przed wyruszeniem.

Wejście na górę miało zająć około 10 godzin. Pierwszego dnia szli 6 godzin, drugiego planowali kolejne 3,5 godziny.

Kilometry dla Dzieci - akcja charytatywna

Wyprawa ma również wymiar charytatywny. Stenka prowadzi akcję Kilometry dla Dzieci we współpracy z Magdą z bloga Polka pod Biegunem. Za każdy przejechany kilometr Magda przekazuje darowiznę na rzecz Zachodniopomorskiego Hospicjum dla Dzieci i Dorosłych.

- Jeden kilometr kosztuje 30 groszy. Na końcu każdego miesiąca, na podstawie zapisków GPS, sponsor wpłaca pieniądze. W ten sposób wyjeździłem już ponad 1700 złotych - tłumaczy podróżnik.

Jak podkreśla, każdy pieniądz się liczy, gdy chodzi o pomoc chorym dzieciom. Dodatkowo prowadzi zbiórkę na portalu zrzutka, która ma wesprzeć hospicjum.

Życie na trasie i plany na przyszłość

Podróżnik nie ukrywa, że wyprawa to dla niego nie tylko przygoda, ale też styl życia. Przed wyruszeniem w trasę pracował na plantacji chinek w Niemczech, w Szwecji oraz przy budowie drogi Słupsk-Ustka.

Kilometr kosztuje 30 groszy. Na końcu każdego miesiąca, na podstawie zapisków GPS, sponsor wpłaca pieniądze. W ten Wyjeździłem już ponad 1700 zł

GRZEGORZ STENKA
Podróżnik

Jego podróż podzielona jest na etapy. Po dotarciu do Zwrotnika Raka planuje przerwę na pracę, aby uzbierać pieniądze na bilet lotniczy do Ekwadoru i na życie w kolejnym etapie. Całą wyprawę można śledzić na blogu Muszla Świętego Jakuba na Facebooku.

Kiedyś o nim pisaliśmy

To nie pierwsza wielka wyprawa Grzegorza Stenki. W 2020 roku, mając 34 lata, przeszedł pieszo Szlakiem św. Jakuba z Rygi na Łotwie do Przylądka Finisterre w Hiszpanii, który w średniowieczu uznawany był za koniec świata. Dziennie pokonywał wtedy od 30 do 40 kilometrów.

Wcześniej miał już na koncie cztery pielgrzymki do Częstochowy oraz wyprawy autostopowe po Europie. W 2014 roku przeszedł francuski odcinek Szlaku św. Jakuba, a rok później podjął próbę przejścia trasą północną wzdłuż wybrzeża Hiszpanii, której jednak nie ukończył.

W 2021 roku, Stenka wyruszył w kolejną pieszą podróż. Tym razem z Ustki do Cabo da Roca w Portugalii, najbardziej wysuniętego na zachód punktu lądowej części

eprasa.pl e73f62faec

FOT. MUSZLA SW. JAKUBA

FOT. MUSZLA SW. JAKUBA

Europy. Trasa liczyła prawie 6,5 tysiąca kilometrów i wiodła przez Bośnię i Hercegowinę, Watykan oraz Santiago de Compostela.Cała wyprawa miała zająć od 5 do 7 miesięcy. Podobnie jak dziś, połączył ją z celem charytatywnym. Utworzył wtedy zbiórkę na rzecz Pomorskiego Hospicjum dla Dzieci. W tamtej podróży nocował w namiocie i szukał gościny u życzliwych osób, kontaktując się przez profil na facebooku.

Od marzenia do legendy

Grzegorz Stenka podkreśla, że robi to z miłości do życia. Motto zbiórki to „Od marzenia do legendy". Partnerem wyprawy jest wyprawowo.pl oraz Wilczy Rower Rowerem Przez Swiat, a patronat objęła Fundacja Bezpieczny Świat. Wyprawę można śledzić na bieżąco, a każdy, kto chce wesprzeć akcję, może dołączyć do zbiórki.

Link do zbiórki: https://zrzutka.pl/w6y8ct

FOT. MUSZLA SW. JAKUBA

REKLAMA 0011563965

eprasa.pl e73f62faec

LUDZKIE HISTORIE

Antoś i Gabryś w końcu będą mogli powiedzieć, co czują

Przez kilka lat ich rodzice uczyli się odczytywać najmniejsze sygnały: spojrzenie, uśmiech, ruch ręki, zmianę wyrazu twarzy. Każda taka wskazówka mogła oznaczać, że dziecko czegoś potrzebuje, coś je boli albo po prostu chce coś przekazać. Czteroletni Antoś i pięcioletni Gabryś rozumieją świat wokół siebie, mają swoje emocje, potrzeby i upodobania, ale do tej pory nie mogli wyrazić ich słowami. Teraz ma się to zmienić

Magda Ciasnowska

W minioną niedzielę – dzięki wsparciu białostockiej Fundacji Małe Cuda – chłopcy otrzymali specjalistyczne urządzenia do komunikacji alternatywnej sterowane wzrokiem. To one sprawią, że Antoś i Gabryś będą mogli samodzielnie wybierać komunikaty, odpowiadać na pytania i mówić o tym, co czują. Dla wielu osób jest to po prostu tablet, zaś dla Antosia i Gabrysia narzędzie, które może otworzyć im drogę do większej samodzielności i kontaktu z najbliższymi.

Urządzenia PC-Eye wykorzystują technologię śledzenia ruchu gałek ocznych. Po odpowiedniej kalibracji dziecko może wybierać znajdujące się na ekranie symbole i komunikaty tylko za pomocą wzroku. Dzięki temu osoby, które nie mogą mówić lub mają bardzo ograniczoną możliwość porozumiewania się, zyskują szansę na wyrażenia siebie.

– Dziś odmieniło się nie tylko życie dwóch chłopców, ale można śmiało powiedzieć, że także dwóch rodzin. Dzięki tym urządzeniom dzieci będą mogły komunikować się z rodzicami, wyrażać swoje potrzeby i emocje. Rodzice z kolei będą mogli lepiej je rozumieć. To powinno ograniczyć wzajemną frustrację i sprawić, że codzienne funkcjonowanie stanie się łatwiejsze – mówi Marcin Rećko, prezes Fundacji Małe Cuda.

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Nowy sprzęt odmienił nie tylko życie dwóch chłopców, ale także rodziców, którzy mogą lepiej rozumieć swoje dzieci

Antoś

Antoś ma prawie cztery lata. Urodził się w ciężkiej zamartwicy po bardzo trudnym porodzie. Konsekwencją komplikacji jest kinetyczne mózgowe porażenie dziecięce, które sprawia, że chłopiec nie ma pełnej kontroli nad ruchami swojego ciała. Na co dzień wymaga pomocy przy wielu podstawowych czynnościach. Nie potrafi samodzielnie jeść, siedzieć ani wykonywać rzeczy, które dla zdrowych dzieci są naturalną częścią dzieciństwa. Jednocześnie – jak podkreślają jego rodzice – Antoś jest bardzo ciekawy świata. Chce uczestniczyć w tym, co dzieje się wokół niego. Chce bawić się tak jak inne dzieci, reagować, wybierać i podejmować decyzje.

– Antoś jest bardzo ruchliwym dzieckiem. Kiedy widzi, że inne dzieci się bawią, grają w piłkę, nie chce siedzieć w wózku. Chce, żebyśmy go wzięli na ręce, żeby mógł uczestniczyć w tym wszystkim razem z nimi. Choroba mu to niestety uniemożliwia – opowiada Katarzyna Tabor, mama chłopca.

Codzienność jej i męża Jakuba jest podporządkowana potrzebom syna. To godziny rehabilitacji, wizyty u specjalistów i ciągła obecność przy Antku.

– Jesteśmy z nim praktycznie cały czas, ale mamy też ogromne wsparcie rodziny, znajomych i sąsiadów. Wokół siebie mamy bardzo dużo dobrych osób – podkreśla Jakub Tabor.

Nowe urządzenie ma dać Antosiowi przede wszystkim poczucie sprawczości.

– Antoś nie mówi, ale to nie znaczy, że nie ma nic do powiedzenia. Dzięki temu urządzeniu będzie mógł wyrazić siebie. Będzie mógł powiedzieć, że jest głodny, że chce mu się pić, że czegoś nie chce, ale też powiedzieć „kocham cię" czy „dziękuję" – uśmiecha się tato chłopca.

Antoś miał już kontakt z podobną technologią podczas zajęć z komunikacji alternatywnej. Na początku wybierał spośród zaledwie kilku symboli, ale z czasem lista możliwości się powiększała. Dziś potrafi wskazać, co chciałby robić, wybrać aktywność, przywitać się czy pokazać, że coś mu się podoba.

– Zależy nam na tym, żeby Antek był szczęśliwy. Chcemy, żeby poczuł, że może coś sam wybrać i zdecydować. Że ma wpływ na to, co się dzieje. Już wcześniej widzieliśmy, ile radości daje mu możliwość samodzielnego wyboru – dodaje mama chłopca.

Gabryś

Podobną drogę przechodzi Gabryś, który niedługo skończy pięć lat. Chłopiec urodził się w 38. tygodniu ciąży, ale podczas porodu doszło do komplikacji. Dziś zmaga się z mózgowym porażeniem dziecięcym oraz padaczką lekooporną. Nie potrafi mówić, dlatego jednym z największych wyzwań jest komunikacja.

– Dużo go rehabilitujemy. Właściwie całe jego życie to rehabilitacja. Ale Gabryś jest bardzo radosnym chłopcem. Mam nadzieję, że sprzęt, który otrzymaliśmy, pomoże mu komunikować się z otoczeniem i pokaże nam jego świat jego oczami – mówi Justyna Haponik, mama chłopca.

Rodzina już wcześniej próbowała różnych sposobów komunikacji alternatywnej, m.in. przy wykorzystaniu symboli i obrazków.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że dostaniemy ten sprzęt, wróciliśmy do takiej komunikacji. Mieliśmy okazję korzystać z podobnego urządzenia podczas zajęć i widzieliśmy, że Gabrysiowi się to podoba. Myślę, że to będzie ogromny krok dla jego rozwoju. W końcu będzie mógł pokazać nam swoje emocje i potrzeby – opowiada mama chłopca.

Codzienność rodziny Gabrysia to przede wszystkim terapia. Gabryś korzysta m.in. z rehabilitacji metodą Vojty, terapii Medek, zajęć na basenie, komunikacji alternatywnej, terapii neurologopedycznej, terapii Bowena oraz ZOGA.

– Nawet zabawa jest trochę rehabilitacją. Staramy się jednak, żeby Gabryś miał szczęśliwe dzieciństwo. Pokazujemy mu świat najlepiej jak potrafimy – mówi jego mama.

Rodzina stara się także znaleźć czas na zwykłe dziecięce radości. Niedawno byli na krótkim wyjeździe.

– Nie pozwalamy sobie na długie podróże, bo nowe miejsca są dla niego trudne. Mamy jednak swoje ulubione miejsce z basenem. Gabryś uwielbia pływać – opowiada pani Justyna.

Dzięki komunikacji alternatywnej chłopiec może już dokonywać prostych wyborów. Wskazuje, co chce zjeść, czego się napić albo czy chce kontynuować daną aktywność.

– Najbardziej podoba mu się wybieranie piosenek. Jego ulubiona to „Wieloryb" ze „Śpiewanek" – uśmiecha się mama Gabrysia.

Rodzice chłopca nie marzą o wielkich rzeczach. Najważniejsze dla nich jest to, by syn był szczęśliwy.

– Nie planuję daleko do przodu. Żyję z dnia na dzień. Chcę cieszyć się każdym momentem z Gabrysiem i każdym jego postępem. Chcę po prostu być dobrą mamą – podkreśla pani Justyna.

Rehabilitacja i technologia to większe możliwości

Obaj chłopcy wymagają długotrwałej, systematycznej rehabilitacji.

– Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kiedy taka rehabilitacja się zakończy. Polega ona na powolnym usprawnianiu. Czasami pracujemy nad dużymi rzeczami, jak nauka siedzenia, a czasami nad tym, żeby dziecko mogło sięgnąć ręką po zabawkę – tłumaczy Edyta Rećko, fizjoterapeutka chłopców.

Jak dodaje, w przypadku Antosia i Gabrysia problemem nie jest tylko ruch, ale również możliwość komunikowania się.

– Żaden z chłopców nie mówi. Mają też trudność z tym, żeby precyzyjnie trafić ręką do celu. Urządzenie wykorzystujące ruch gałek ocznych pozwala im odpowiadać na pytania, wyrażać emocje i potrzeby. Dzięki temu zmniejsza się frustracja dzieci i rodziców – mówi.

Jej zdaniem nowoczesne technologie coraz częściej stają się ważnym elementem rehabilitacji.

– Nie da się już oddzielić klasycznej fizjoterapii od takich rozwiązań. To musi się uzupełniać. Jeżeli mamy możliwość pomóc rodzinom zdobyć taki sprzęt, warto to robić – podkreśla Edyta Rećko.

Pomoc przyszła z całej Polski

Zakup dwóch urządzeń był możliwy dzięki współpracy Fundacji Małe Cuda i społeczności BMW Z Club Polska. Podczas ogólnopolskich zlotów miłośników samochodów prowadzona była zbiórka środków na zakup sprzętu. W akcję zaangażowało się kilkaset osób. Łącznie zebrano około 250-300 wpłat, a wartość przekazanego wyposażenia wyniosła około 50 tys. zł.

– Kilka lat temu poznaliśmy się z Marcinem Rećko, jako miłośnicy motoryzacji, a później zaczęliśmy wspólnie pomagać. Zależało mi, żeby nasze zloty miały większe znaczenie niż tylko spotkania samochodowe. Dziś są także okazją do realnej pomocy dzieciom – mówi Robert Stramecki z BMW Z Club Polska.

Finał akcji odbył się podczas rodzinnego pikniku na terenie Ośrodka Doskonalenia Techniki Jazdy Faworyt w Wasilkowie. Na uczestników czekały między innymi pokazy samochodów, przejazdy sportowymi autami, symulator dachowania, atrakcje dla dzieci i pokazy ratownictwa. Podczas wydarzenia prowadzona była także zbiórka na dalszą pomoc dla podopiecznych Fundacji Małe Cuda. Udało się zebrać 9580,52 zł.

eprasa.pl e73f62faec

Piotr Pytel jest już wolny, ale wciąż ciąży na nim wyrok dożywocia – Str. 24-25

PULS*regionów*

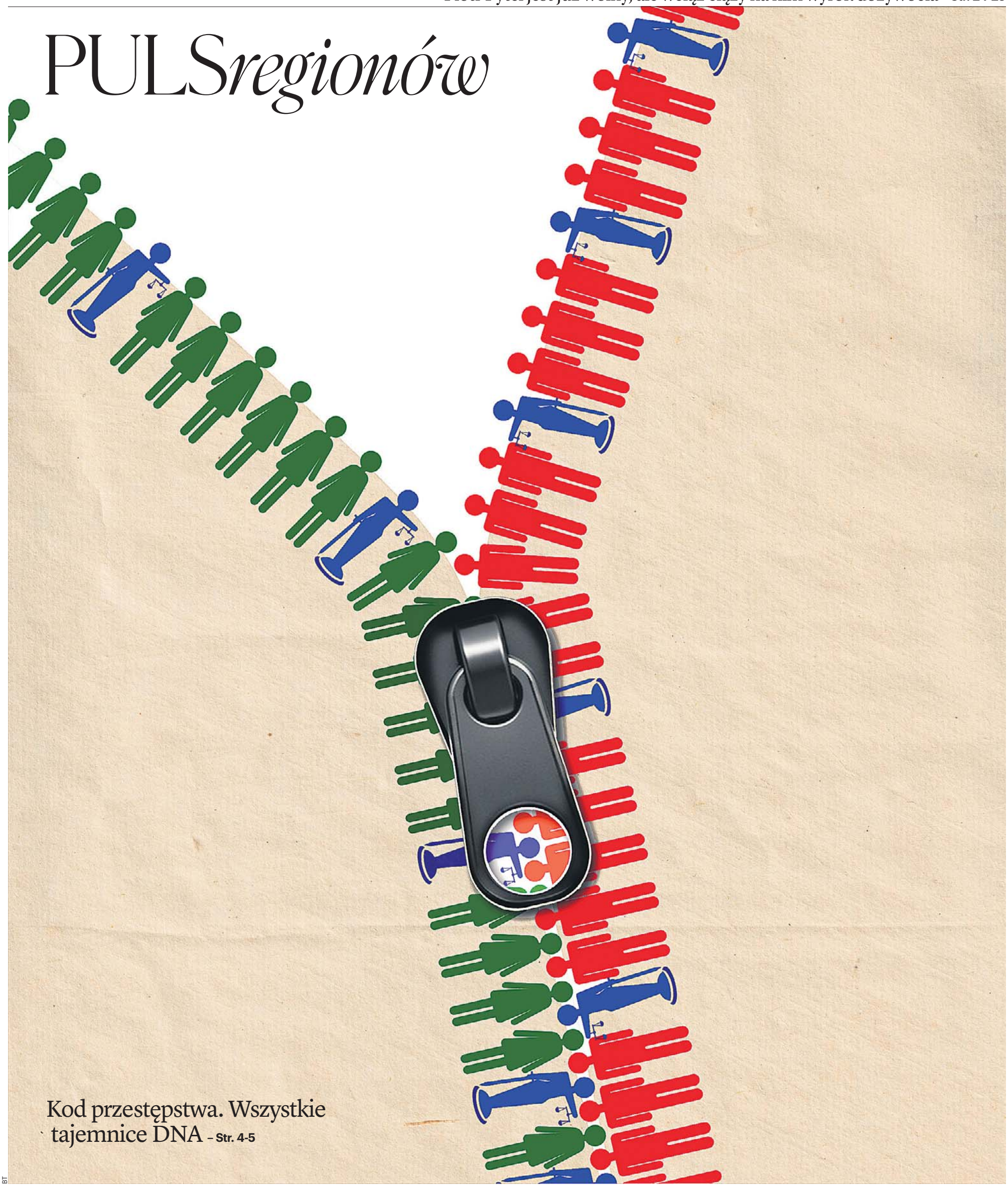

Kod przestępstwa. Wszystkie tajemnice DNA – Str. 4-5

BT

eprasa.pl e73f62faec

MOIM ZDANIEM

LESZEK WALIGÓRA
publicysta

Dobra, szatańska liczba

Pcha wózek, patrzy w telefon, nawet okiem na jezdnię nie rzuciła. I wjeżdża na przejście, pewnie nawet nie wie, że auta po obu stronach hamują. A dzidzia w wózku, patrzy mi w oczy ciumkając smoczka. 200 metrów dalej sytuacja się powtarza. Tym razem znów mama z oczami w telefonie, znów wózek, ale za to dzieci dwójka. Auta hamują, pani radośnie coś tam komuś odpisuje. Trzecie pasy. Tym razem tata, dryblas, ciągnie rezolutnego chłopczyka. Może 4 lata. Kręcone włoski, ciekawskie spojrzenie. Mierzy moją srebrną strzałę od kół po dach, pewnie fachowo zastanawia się nad pojemnością silnika i zużyciem bieżnika. Ojciec nie, ojciec tkwi w telefonie. Pal licho, że na przejściu. Gorzej, że w połowie pasów uznaje, że należy skrócić dystans i maszeruje dalej, ciągnąc za sobą malca, środkiem jezdni. Auta stoją. Nikt nie trąbi, choć każdy ma ochotę. Bo po co straszyć synka, kiedy ojciec gapa.

I nie, nie będzie to kolejna opowieść o ludziach, którym życie przepływa przez telefony, a prawdziwe ucieka. Jeszcze 10 lat temu to byłaby historia tragiczna. „Jednego dnia, w średniej wielkości mieście wojewódzkim, pod kołami samochodów zginęło troje dorosłych i czworo małych dzieci. Mimo prowadzonej reanimacji nie udało się przywrócić funkcji życiowych potrąconych osób. Funkcjonariusze policji stwierdzili, że piesi nie zachowali niezbędnej ostrożności i wtargnęli na jezdnię. W co najmniej jednym z przypadków kierowca przekroczył dozwoloną prędkość, a inny złamał przepisy, wyprzedzając na przejściu dla pieszych". Mniej więcej tak wyglądałaby notka sporządzona przez znudzonego wypadkami reportera. Bo ileż można.

Ale stało się coś dziwnego. Pierwsze półrocze tego roku upłynęło pod znakiem szatańskiej liczby 666. Tyle osób zginęło na polskich drogach w tym czasie. I jest to wiadomość... optymistyczna. Bo to był historycznie najmniejszy odsetek wypadków i ofiar śmiertelnych od czasu, gdy w Polsce zaczęto to mierzyć. Od roku 1997 do dziś, liczba wypadków spadła o ponad 69 procent. Liczba ofiar śmiertelnych w tamtym roku wyniosła, uwaga, 7311. Jeśli nawet te 666 trupów z pierwszej połowy tego roku, do 31 grudnia się podwoi... to będzie przecież 6 tysięcy osób zabitych mniej. Wiele tysięcy osób rannych mniej. Przełom!

W tym państwie z kartonu sklejonego szpagatem, gdy jeden rząd wywraca wszystko, co robi drugi, gdzie prezydent zawetuje każdy przepis rządu, zgoda dotycząca bezpieczeństwa okazuje się prawdziwa. I nie chodzi, jak widać, tylko o to militarne, a to jak najbardziej przyziemne. To długa historia dobrych decyzji – pewnie jakieś złe po drodze były również. Niedawno pisaliśmy o historii świateł ulicznych, które w Polsce pojawiły się dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym, tak samo jak na świecie, od razu drastycznie zmniejszając liczbę wypadków. Ale przez ostatnie 30 lat mieliśmy dużo więcej dobrych zmian. Obowiązkowe pasy w samochodach – tak, tak, kiedyś były nieobowiązkowe. Obowiązek jeżdżenia przez cały rok na światłach. Brak taryfy ulgowej dla kierowców jeżdżących na podwójnym gazie. Ograniczenie prędkości w terenach zabudowanych – tak, strefa tempo 30 to jest przy potrąceniu pieszego różnica między życiem i śmiercią. Fotoradary i odcinkowe pomiary prędkości. Konfiskata samochodów. I wreszcie przepis, który miał się nie udać. Bezwzględne pierwszeństwo pieszych na przejściu. Mieliśmy mieć festiwal wariatów za kółkiem. Owszem, czasem zdarzy się kretyn, który brak wyobraźni i umiejętności nadrabia prędkością. Dla takich ludzi jest sąd i więzienie, o ile sami się nie wyeliminują z puli genetycznej. Ale przepis o pierwszeństwie pieszych na pasach działa. Nawet jeśli jeden z drugim sami łamią przepisy, gapiąc się w ekraniki.

Z CZEGO JUTRO ...? 300. ARTYKUŁ Z TEGO CYKLU

ANDRZEJ SADOWSKI
Centrum im. Adama Smitha

Zasady programu dobrostanu, czyli „bogactwo obywateli, głupcze!"

Obecny system sprawowania władzy i organizacji działalności państwa nie jest w stanie zagwarantować obywatelom nawet fizycznego bezpieczeństwa, a z roku na rok utrudnia tworzenie dobrobytu powstającego wyłącznie z ich pracy i przedsiębiorczości. Miarą sprawczości systemu stały się prowokacje i represje urządzane przez jego biurokratyczny aparat wobec firm. Osłabianie i blokowanie naturalnych źródeł bogactwa narodu polskiego skomplikowanymi i podwyższanymi nieustannie podatkami oraz mnożeniem przepisów, nierzadko bez podstawy w prawie unijnym, stało się praktyką kolejnych rządów i parlamentów. Skrajne sformalizowanie działalności gospodarczej najmniejszych rozmiarów jak w przypadku SENT prowadziło do fizycznej likwidacji polskiej przedsiębiorczości.

Nawet długotrwała wojna tocząca się tuż za granicą państwa polskiego nie doprowadziła między ugrupowaniami zasiadającymi w parlamencie do konsensusu – na miarę coraz dramatyczniejszej powagi sytuacji wraz z kolejnymi wlatującymi na teren Polski pociskami manewrującymi – i racji stanu, co tylko potwierdza głęboką dysfunkcjonalność systemu sprawowania władzy, w którym doraźne partyjne interesy mają pierwszeństwo przed wielopokoleniowymi interesami obywateli. Bezpieczeństwo państwa zaczyna się od bezpieczeństwa gospodarczego jego obywateli, które wobec anarchizacji działań aparatu sądowniczego działającego na krawędzi chaosu od dawna nie jest chronione zwłaszcza przed nadużyciami władzy. W praktyce tzw. sądownictwo rozstrzyga spory w sposób urągający Międzynarodowemu Paktowi Praw Obywatelskich i Politycznych.

Wiarygodność instytucji państwa przy drapieżności ich poczynań wobec obywateli oceniana tylko przez pryzmat zachowań sądowej opricziny i w tzw. publicznej służbie zdrowia dawno przekroczyła kolejne punkty krytyczne. Traktowanie obywateli jawnie przedmiotowo i instrumentalnie, którzy dla aparatu władzy są przede wszystkim płatnikami składek i innych podatków prowadzi do odtworzenia podziału z czasów komunistycznego reżimu na „my i oni". Stan ten od dekad pogłębiają przepisy i praktyki władz traktowania polskich obywateli, a zwłaszcza przedsiębiorców zauważalnie gorzej niż obywateli obcych państw działających w Polsce.

Pierwszą z zasad Programu Społecznego Dobrostanu „Bogactwo obywateli, głupcze!" jest likwidacja dyskryminacji prawnej, podatkowej oraz w dostępie do usług publicznych polskich obywateli i przedsiębiorców. Jeżeli rządy przyznały przywileje obywatelom i firmom z innych państw, to te same należą się z mocy konstytucji obywatelom Polski.

Drugą z zasad jest uchwalanie tylko takiego prawa, które w udokumentowany sposób oszczędza czas i pieniądze obywateli. Najcenniejszym, a zarazem najbardziej marnowanym zasobem jest ich praca i czas. Rosnącymi podatkami i mnożonymi przepisami systematycznie niszczona jest moralna motywacja do pracy i przedsiębiorczości, które są ostoją rozwoju również w czasach AI. Trzecią z zasad jest objęcie konstytucyjną ochroną pracy i przedsiębiorczości obywateli Polski, które są prawdziwym źródłem bogactwa narodu polskiego. Programy społeczne nie mogą zastępować pracy i mają charakter wyłącznie interwencyjny. Dziś prowadzą do patologicznego klientelizmu politycznego finansowanego z nieustannego zwiększania redystrybucji bogactwa przez aparat.

Ostatnią z zasad jest zmiana obecnego ustroju na prawdziwie demokratyczny oddający obywatelom kontrolę nad władzą na wzór sprawdzonych rozwiązań Konfederacji Szwajcarskiej, w tym z korzystaniem na co dzień z instytucji referendum. Zmiana ordynacji wyborczej na większościową z jednomandatowymi okręgami wyborczymi utoruje zastąpienie dotychczasowej władzy sprawowanej w imieniu społeczeństwa władzą realizowaną w interesie obywateli.

Trwały rozwój, a nie tylko przelotnie dodatni, jest konsekwencją dobrego rządzenia oraz uczciwych i trwałych zasad. Skuteczność władzy interesu społecznego mierzy się skróconym czasem pracy potrzebnym obywatelowi na utrzymanie rodziny oraz tym, ile więcej z wypracowanego przez niego bogactwa pozostaje w jego kieszeni, a nie w budżecie państwa.

Obywatele potrzebują przywódców, którzy przestaną ich traktować jako źródło dochodów budżetowych, a zaczną traktować ich dobrostan jako miarę własnego sukcesu oraz trwałego miejsca dla siebie w historii narodu polskiego.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 roku.

Wasyl Bodnar, ambsador Ukrainy w Polsce: Jesteśmy sąsiadami, mamy za sobą trudną historię. Obecny kryzys jest jednym z najpotężniejszych, gdyż rzutuje na wszystkie wymiary współpracy

FOT. AMBASADA UKRAINY W WARSZAWIE

eprasa.pl e73f62faec

STOPKLATKA

FOT. EPA/FILIP SINGER DOSTAWCA: PAP/EPA.

↑

Tragedia w Berlinie, gdzie islamski terrorysta wjechał furgonetką w tłum ludzi biorących udział w Paradzie Równości w parku Tiergarten. Okazało się później, że w tym zamachu zginęła Polka, natomiast jej córka została ranna. Łącznie w wyniku tego ataku ucierpiało 30 osób. Policja zastrzeliła zamachowca przy próbie zatrzymania

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

↑

Wołodymyr Zełenski w USA spotkał się z Donaldem Trumpem - i ich spotkanie przebiegło w całkowicie innej atmosferze niż pamiętna rozmowa z lutego 2025 r. Tym razem amerykański prezydent był przyjaźnie nastawiony, przekazał Ukrainie m.in. licencję do produkcji Patriotów. A Zełenski wracając z Waszyngtonu spotkał się w Lublinie z Donaldem Tuskiem. Rozmawiali o Trumpie

→

W Polsce w lipcu pogoda nie rozpieszczała - ale w innych częściach Europy wygląda to już zupełnie inaczej. Cześć państw na kontynencie (m.in. Francja, Turcja, Hiszpania) zmagają się z potężnymi pożarami. Na zdjęciu widać strażaków próbujących opanować żywioł w północnej Portugalii. W Grecji trzech strażaków walczących z ogniem zginęło

FOT. PAP/EPA/PEDRO SARMENTO COSTA

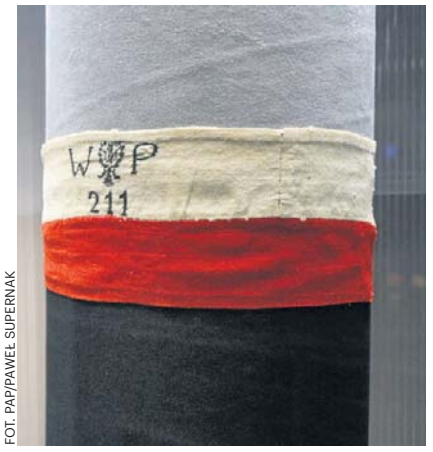

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

←

Oryginalna opaska powstańca warszawskiego - jeden z eksponatów pokazanych na wystawie z okazji 82. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. 1 sierpnia o godz. 17 w kraju zawyją syreny, by w ten sposób upamiętnić ten zryw

eprasa.pl e73f62faec

KRYMINOLOGIA

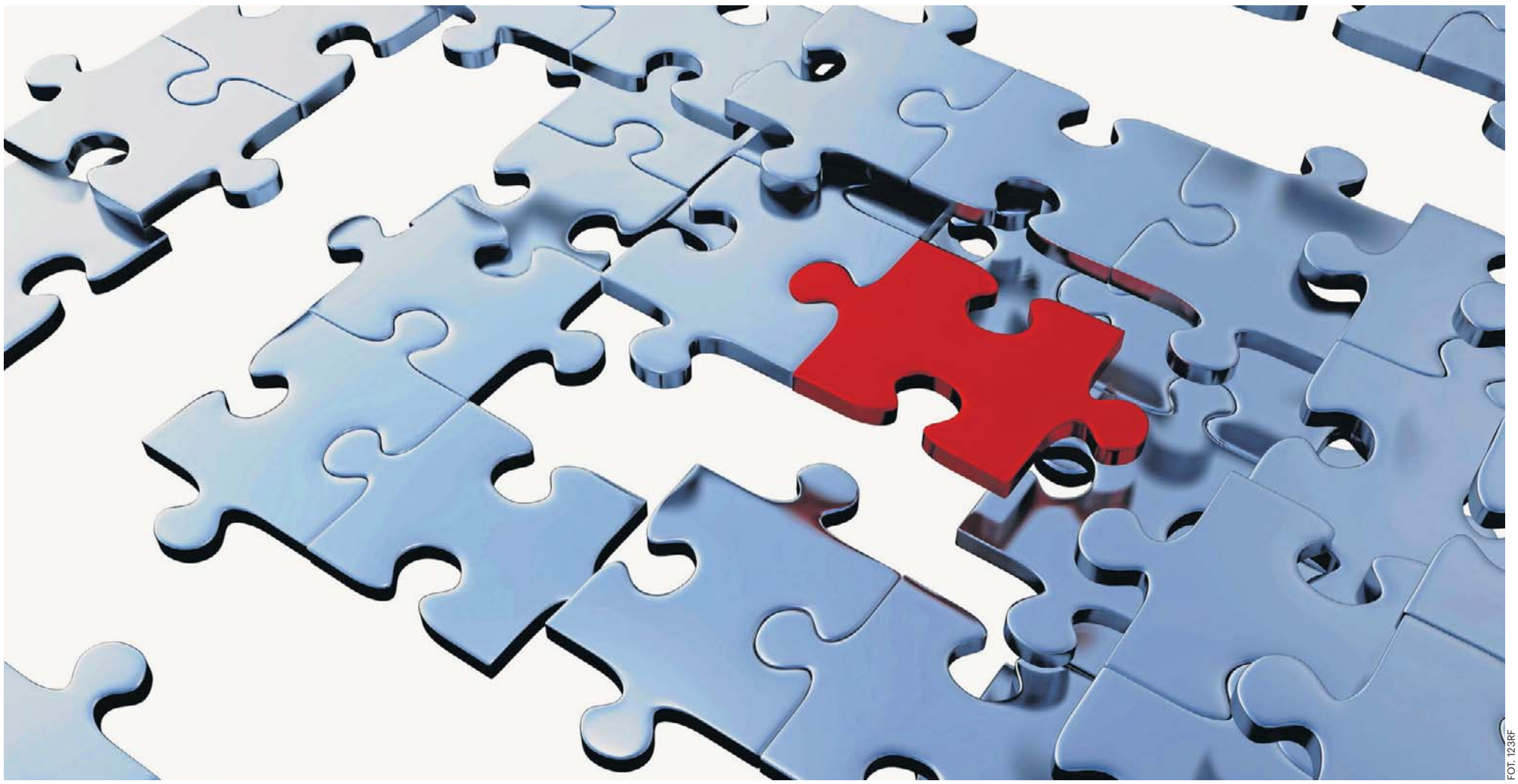

FOT. 123RF

Gdyby śledczy mieli dostęp do badań DNA wszystkich ludzi, właściwie nie byłoby niewyjaśnionych spraw

Kod DNA. Odcisk, który zawsze prowadzi do sprawcy

Zabójstwo Izy Strzałkowskiej było jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych ostatnich dekad. Jej rozwiązanie – to moment historyczny nie tylko dla polskich śledczych. Najprawdopodobniej drugi raz w Europie udało się schwytać sprawcę dzięki genealogii genetycznej

Dorota Kowalska

Tą sprawą żyją media od kilku tygodni. Po 15 latach zatrzymano zabójcę Izy Strzałkowskiej z Gdyni. Trudno się dziwić tym emocjom – po raz pierwszy w Polsce udało się ująć sprawcę dzięki genealogii genetycznej. To drugi taki przypadek w Europie, pierwszy miał miejsce w Szwecji.

Warto wrócić do tej historii. 19 października 2004 roku mieszkańcami szwedzkiego Linköping wstrząsnęło brutalne morderstwo 8-letniego Mohammeda Ammouriego i 56-letniej Anny-Leny Svensson. Mohammeda zaatakowano, gdy szedł do szkoły, Anna-Lena próbowała interweniować, przeszkodzić sprawcy, ale ona również została zaatakowana. Oboje, chłopca i kobietę, w brutalny sposób zadźgano.

Na miejscu zabezpieczono DNA sprawcy, było na narzędziu zbrodni i czapce, którą pewnie zgubił na ulicy. Ale to nie posunęło sprawy naprzód. Nie było motywu, nie było innych świadków. Śledztwo utknęło na kolejnych 16 lat.

Przełom nastąpił w czerwcu 2020 roku. Wtedy genealog Peter Sjölund użył metody wykorzystującej bazy danych DNA. Znalazł osoby spokrewnione z zabójcą i tak doprowadził śledczych do Daniela Nyqvista. Aresztowany w wieku 37 lat Nyqvist przyznał się do morderstw. Tłumaczył, że jakieś głosy w jego głowie kazały mu kogoś zabić.

Na podstawie tej historii nakręcono szwedzki serial kryminalny „Przełom", historię opisali w swojej książce dziennikarka Anna Bodin i wspomniany już wcześniej genealog Peter Sjölund. Ich „The Breakthrough: How the Genealogist Solved the Double Murder in Linköping" („Przełom: Jak genealog rozwiązał podwójne morderstwo w Linköping") stała się bestselerem. Serial miał swoją premierę na Netflixie 7 stycznia 2025 roku i też już po kilkunastu godzinach był na pierwszym miejscu TOP 10 najchętniej oglądanych tytułów w Polsce na tej platformie.

„Chociaż to fikcyjny serial dramatyczny o zbrodni, to ma on przede wszystkim przedstawić ludzką tragedię. To historia o współczuciu i trosce o siebie nawzajem, które są potrzebne, aby iść dalej, gdy dzieją się straszne rzeczy" – mówiła reżyserka serialu, Lisa Siwe, podkreślając, że „Przełom" to coś więcej niż tylko dramat kryminalny.

Tożsamość sprawcy

Czy o pracy śledczych przy sprawie Izy Strzałkowskiej też powstanie książka albo trzymający w napięciu film kryminalny? Niewykluczone. Jest w tej historii wszystko: dramat, emocje, ciężka praca policjantów i zaskakujące zwroty akcji.

23 sierpnia 2011 roku 13-letnia Iza wyszła z domu, żeby odprowadzić koleżankę na pobliski przystanek w gdyńskiej dzielnicy Dąbrowa. Wtedy po raz ostatni widziała się z bliskimi. Długo nie wracała, więc rodzina zaczęła jej szukać. Ciało Izy, jeszcze tego samego dnia, znaleziono obok ścieżki, którą miała wrócić do siebie. Dziewczynka została zgwałcona i zamordowana.

Michał Gabriel-Węglowski, gdański prokurator, zajął się sprawą 9 lat po dokonaniu zbrodni. Wiedział, że nie będzie łatwo. Miał jednak skarb: DNA sprawcy.

– Krąg potencjalnych sprawców można było liczyć w tysiącach. To były ostatnie dni sierpnia, koniec wakacji, więc jeszcze spory ruch w lasach przy osiedlu na gdyńskiej Dąbrowie, gdzie doszło do zabójstwa. Kręciły się tam wtedy przeróżne osoby. W samej dzielnicy w 2011 roku było zameldowanych ponad 14,5 tys. osób – mówił Gabriel-Węglowski w rozmowie z Wirtualną Polską.

Do tego trzeba było dodać ludzi pracujących w pobliskich firmach, mieszkańców sąsiednich miejscowości. W pierwszym śledztwie, które trwało trzy lata, pobrali DNA od 685 osób. Nic.

I w tej historii, jak w tej ze Szwecji, nastąpił przełom. Podczas wewnętrznej konferencji policyjno-prokuratorskiej dwie policjantki z Łodzi opowiadały o metodzie genealogii genetycznej. Stosunkowo nowej, ale stosowanej na świecie – to dzięki niej genealog Peter Sjölund trafił na Daniela Nyqvista, zabójcę z Linköping.

Metoda opiera się na szukaniu pokrewieństwa pomiędzy osobą, od której pochodzi pobrany materiał genetyczny – w tych wypadkach sprawcach zabójstw, a ludźmi, któ-

eprasa.pl e73f62faec

rzy zostawiają swoje DNA w bazach genealogicznych.

– Porównuje się profil osoby A z profilem osoby B, obliczając jednostki zbieżności, tzw. centymorgany. Im wyższa ich liczba, tym większe prawdopodobieństwo, że dwie osoby są blisko spokrewnione w naszych życiowych relacjach – tłumaczył prokurator w WP.

W przypadku zabójstwa Izy Strzałkowskiej domniemany morderca miał zbieżność z kilkunastoma osobami z amerykańskich baz DNA, pewnie miały polskie korzenie. Po ich zidentyfikowaniu biegli stworzyli drzewo genealogiczne, które miało połączyć wytypowanych ze sprawcą.

– Najstarsza osoba na tym drzewie urodziła się w czasie rewolucji francuskiej, w 1790 roku. Cofnęli się więc o niemal 250 lat. Na tym ogromnym drzewie, wokół kilkunastu wyjściowych osób, znalazło się w sumie około 10 tysięcy nazwisk – powiedział Michał Gabriel-Węglowski.

Specjaliści korzystali z państwowych archiwów i dokumentów urzędów stanu cywilnego. Łącząc te informacje z fenotypowaniem, które pozwoliło przypisać prawdopodobne cechy mordercy wskazano na jedną osobę Michała S.

Michał Gabriel-Węglowski zlecił jeszcze dwie niezależne ekspertyzy, nie chciał się pomylić, zatrzymać niewinną osobę. Obie były identyczne, to on – 37-letni dzisiaj Michał S., sąsiad ofiary.

Przyznał się do zbrodni

Mógł widywać Izę. Mieszkał w pobliżu. Może nawet mijali się na ulicy, bywali w tych samych sklepach. Od morderstwa minęło 15 lat. Michał S. prowadził ustatkowane, normalne życie. Skończył studia, miał pracę, żonę, dwójkę dzieci.

Ponoć prezentował się jako konserwatywny katolik. Chodził na występy Arki Noego, jeździł na Ogólnopolskie Spotkania Młodych Lednica – największy coroczny zjazd katolickiej młodzieży z Polski i zagranicy.

– Nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że to właśnie on mógł dopuścić się takiej zbrodni – mówili jego znajomi ze studiów.

Zapamiętali Michała S. jako osobę wycofaną, nieporadną życiowo, niezbyt bystrą, ale pracowitą. Mężczyzna miał problemy zdrowotne. Praktycznie nie słyszał na jedno ucho, na drugie – jedynie w ograniczonym stopniu.

Kolegom ze studiów rzadko opowiadał o swoim życiu rodzinnym, ale był pod wyjątkowo troskliwą opieką matki i siostry. Regularnie do niego dzwoniły, pytały o najprostsze codzienne sprawy, czy zrobił zakupy, pranie, czy ugotował obiad.

Nie był ani zabawowy, ani agresywny. Nie chodził zbyt często na imprezy, wolał w tym czasie słuchać muzyki. Lepiej czuł się w towarzystwo kobiet, ale te relacje miały koleżeński charakter.

Kolega 37-latka, do którego dotarł „Fakt", wspominał, że po wakacjach 2011 roku, gdy doszło do zabójstwa Izy, Michał S. wyraźnie się zmienił. Zaczął intensywnie biegać, choć początkowo często wracał ze studiów w Bydgoszczy do rodzinnego domu w Gdyni, z czasem robił to coraz rzadziej. Stał się bardziej wrażliwy emocjonalnie, źle znosił krytykę. Kolega przywoływał sytuację ze studiów, kiedy Michał S. poprosił wykładowcę o unieważnienie egzaminu, twierdząc, że część studentów wcześniej poznała pytania. Szybko ustalili, kto był donosicielem, doszło do konfrontacji, podczas której Michał S. miał się rozpłakać. Był aktywny na studenckich grupach internetowych, ale po zabójstwie Izy rzadziej wchodził do sieci. Z czasem to się zmieniło.

Po postawieniu mu zarzutu zabójstwa internauci odnaleźli jego profil w mediach społecznościowych. Wynika z niego, że w 2018 roku, siedem lat po zbrodni, ożenił się. Publikował zdjęcia z życia rodzinnego.

Zatrzymany już po godzinie miał przyznać się do zabójstwa i powiedzieć śledczym, że domyśla się, czemu go ujęto. Gryzły go wyrzuty sumienia?

– Jeśli w tak poważnej sprawie człowiek niemal od razu się przyznaje, to znak, że ta sprawa w nim tkwiła. Nie ma dymu bez ognia – stwierdził ¬ Michał Gabriel-Węglowski.

Genealogia w sukurs kryminalistyce

Prawda jest taka, że pętla wokół przestępców mocno się zaciska. Dzisiaj żaden z nich, nawet jeśli przez lata pozostawał nieuchwytny, nie może czuć się bezpiecznie. Także dzięki genealogii. Miliony Amerykanów wysyłało do prywatnych firm swoje DNA, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości i tak, trochę nieświadomie, doprowadzili do przełomu w kryminalistyce. Takich firm zbierających DNA jest coraz więcej, na całym zresztą świecie. Dzisiaj anonimowemu śladowi na miejscu przestępstwa można przypisać imię i nazwisko – bo do sprawcy można dojść także poprzez jego krewnych. W każdym razie śledczym dzięki publicznym bazom danych DNA udało się już zidentyfikować wielu morderców, gwałcicieli, przestępców.

Jedną z najsłynniejszych spraw, w której kluczową rolę odegrały komercyjne bazy danych DNA, jest ta seryjnego mordercy znanego jako Golden State Killer.

Golden State Killer terroryzował Kalifornię na przełomie lat 70.i 80., miał dokonać 100 włamań, 50 gwałtów i przynajmniej 13 morderstw. Całe dekady pozostawał nieuchwytny. Po latach, a dokładnie w 2016 roku agenci FBI wznowili poszukiwania przestępcy i wyznaczyli nagrodę w wysokości 50 tys. dolarów za informacje, które mogłyby przyczynić się do jego złapania. Dwa lata później ogłosili, że wiedzą, kto jest mordercą i gwałcicielem z Kalifornii, a rozwiązali tę zagadkę, korzystając z darmowej bazy danych GEDmetch. Gdy policja umieściła w niej próbki DNA Golden State Killera, znalazła 10 do 20 jego dalekich krewnych. Na tej podstawie stworzono drzewo genealogiczne i wytypowano dwóch podejrzanych. Jeden z nich został wyeliminowany w toku śledztwa, został tylko Joseph James DeAngelo. Pobrano próbki DNA z klamki jego samochodu i chusteczki do nosa znalezionej w koszu na śmieci. Pasowały. 72-letni DeAngelo usiadł na ławie oskarżonych, oskarżono go o osiem morderstw pierwszego stopnia i trzynaście prób uprowadzenia.

Inne śledztwo, które pewnie przejdzie do historii kryminalistyki, to historia sprzed ponad 50 lat. 15 lutego 1974 roku 25-letnia studentka Mary K. Schlais została znaleziona przy drodze w niewielkim miasteczku Spring Brook w Wisconsin. Została kilkakrotnie dźgnięta nożem. Ostatnio widziano kobietę, kiedy jechała autostopem do Chicago. Jedynym tropem dla śledczych była czapka znaleziona na miejscu zbrodni, a na niej włosy. Detektywi sprawdzali różne hipotezy, przesłuchiwali świadków – nic.

Wiele lat później, biuro szeryfa hrabstwa Dunn nawiązało współpracę z genealogami genetycznymi z Uniwersytetu Ramapo w New Jersey. Śledczy wysłali im włosy znalezione na czapce. Naukowcy wygenerowali z nich DNA, potem przeanalizowali drzewo genealogiczne na popularnych witrynach genealogicznych i przekazano śledczym nazwiska krewnych podejrzanego. Było to o tyle trudne, że sprawca był adoptowanym dzieckiem, co komplikowało sprawę, ale udało się. Nauka, a konkretnie genealogia doprowadziła śledczych do 84-letniego Jona Millera w Minnesocie. Miller przyznał, że 50 lat wcześniej zabrał Mary, która łapała autostop do samochodu. Chciał uprawiać z nią seks, a kiedy odmówiła, zabił ją nożem.

Tożsamość ofiary

Genealogia pomaga dzisiaj ustalić nie tylko dane sprawcy, ale także ofiary.

Trzy lata temu głośno było o najstarszej nierozwiązanej sprawie w Filadelfii w USA, chodziło o słynną historię „chłopca z pudełka". Ciało malca zostało znalezione w kartonowym pudełku 25 lutego 1957 roku. Było nagie, owinięte w koc, pokryte siniakami i ranami. Wiek chłopca oceniono na cztery do sześciu lat. Wyglądał na niedożywionego. Miał krótkie, jasne, zmierzwione włosy i niebieskie oczy. Śledczy nie mieli wątpliwości, że dziecko musiało być maltretowane, a potem pobite na śmierć.

Plakaty ze zdjęciem chłopca rozwieszono w całej Filadelfii. Cisza. Nikt nie znał tego dziecka, nikt go nie szukał.

Pojawiło się szereg teorii na temat śmierci malca. Policja liczyła, że ktoś zgłosi zaginięcie, jednak nic takiego się nie stało. Mimo zakrojonego na szeroką skalę śledztwa, nie udało się ustalić ani tożsamości chłopca, ani też tego, kto mógł stać za jego śmiercią. „Chłopiec w pudełku" spoczął na filadelfijskim cmentarzu, na jego grobie napisano jedynie: „Niebiański Ojcze pobłogosław tego Nieznanego Chłopca".

Śledczy się nie poddawali, sprawdzali dziesiątki tropów. Przeprowadzano ekshumację 4-latka. Dochodzenia nigdy nie zawieszono. Wreszcie po sześćdziesięciu pięciu lat na podstawie badań DNA udało się ustalić tożsamość chłopca. To Joseph Augustus Zarelli, urodzony 13 stycznia w 1953 roku.

– Nie jest już chłopcem z pudełka. Ma imię – oświadczył William Fleisher z grupy dochodzeniowej.

Wiadomo, że oboje rodzice Josepha zmarli, żyje natomiast jego rodzeństwo. Rodzina 4-latka mieszka w zachodniej Filadelfii. Policjanci mają nadzieję, że teraz śledztwo ruszy do przodu. Wiadomość o tożsamości malca została podana do wiadomości publicznej, może więc zgłosi się ktoś, kto wie coś o sprawie, coś słyszał, zauważył. Trzeba ustalić, kto zabił to dziecko.

Albo inna historia: na początku 2023 roku policjanci z zespołu badającego tzw. cold cases, czyli niewyjaśnione sprawy sprzed lat, ustalili tożsamość kobiety, którą zamordowano w 1995 roku.

– W ciągu 27 lat funkcjonariusze, którzy obecnie są już na emeryturze, a następnie także nasz zespół zajmujący się rozwiązywaniem „cold cases", pracowali, by ustalić tożsamość ofiary. I to, kto jest sprawcą morderstwa – tłumaczył Pat Withrow, szeryf kalifornijskiego hrabstwa San Joaquin.

Ofiara została zidentyfikowana jako Amanda Lynn Schumann Deza. W momencie śmierci kobieta miała 29 lat. Była matką trojga dzieci, z mężem pozostawała w separacji.

Jej ciało w marcu 1995 roku zostało odnalezione w lodówce porzuconej w kanale irygacyjnym w miejscowości Stockton w Kalifornii. Zwłoki znajdowały się w stanie rozkładu. Wówczas nie udało się ustalić tożsamości ofiary, a śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Przełom nastąpił dopiero po niemal trzech dekadach, gdy sprawą zajął się utworzony przez Biuro Szeryfa Hrabstwa San Joaquin zespół badający nierozwiązane zagadki kryminalne sprzed lat. Jak doszło do przełomu? Otóż specjaliści od analizy DNA z laboratorium Othram z Teksasu, z którym współpracowali śledczy, stworzyli tropy genetyczne prowadzące do kobiet mogących być spokrewnionymi z ofiarą. Analiza dostarczonych przez nie próbek materiału genetycznego wykazała, że zwłoki należały do Dezy.

Choć tożsamość zamordowanej kobiety została ustalona, nadal nie wiadomo, kto odpowiada za tę zbrodnię.

Dzięki badaniom DNA udało się zidentyfikować także inną kobietę, którą w 1978 roku znaleziono martwą w stanie Massachusetts. Patricia Ann Tucker, wówczas 28-letnia, przez dziesięciolecia była znana jako „Granby Girl" od nazwy miasteczka, w którym znaleziono jej ciało. Kobieta została zastrzelona i pochowana w bezimiennym grobie. Sekcja zwłok wykazała, że ofiara miała od 19 do 27 lat. Jej tożsamość przez lata pozostawała tajemnicą.

W 2021 roku śledczy odnaleźli kobietę mieszkającą w Maryland, która prawdopodobnie była z nią spokrewniona. Krewna powiedziała policji, że jej ciotka zaginęła w latach 70. i podała dane dwóch synów kobiety. Jeden z nich, Matthew Dale potwierdził, że ofiara to jego matka, Patricia Tucker, która zaginęła w 1978 roku. Porównanie DNA mężczyzny z DNA kobiety dało 100 proc. zgodności w teście rodzic-dziecko.

„Przynajmniej teraz, po latach, mam kilka odpowiedzi. To dużo do przetworzenia, ale mam nadzieję, że zamknięcie jest już blisko" – napisał w oświadczeniu syn kobiety Matthew Dale.

– To postępy w kryminalistyce, a w szczególności w kryminalistycznej genealogii genetycznej, dostarczyły nadziei na identyfikację ofiary – powiedział pierwszy zastępca prokuratora okręgowego Northwestern Steven Gagne.

Śledztwo w sprawie śmierci wciąż jednak trwa. Zamordowana była żoną Geralda Colemana, który nigdy nie zgłosił jej zaginięcia. Był skazany pod zarzutem gwałtu i napaści, zmarł w więzieniu w 1996 roku i, jak twierdzi policja, mógł być „osobą zainteresowaną" morderstwem swojej żony.

W policyjnych archiwach na całym świecie leżą tysiące niewyjaśnionych spraw. W większości z nich zabezpieczono na miejscu zdarzenia DNA mordercy, gwałciciela, złoczyńcy. Dzisiaj można do niego trafić dzięki badaniom kodu genetycznego i genealogii. Dlaczego śledczy coraz częściej otwierają pudła z dowodami, na których ktoś lata temu napisał: „cold cases" i dochodzą do prawdy.

eprasa.pl e73f62faec

PRAWO

FOT. POLICJA ŚLĄSKA

29.07 w Kuźnicy Starej Jakub Sz. swoim BMW uderzył w 9-letniego Fabiana. Chłopiec nie przeżył. Kierowca był odurzony narkotykami (nie pierwszy raz!) i miał sądowy zakaz kierowania pojazdami. Ta tragedia pokazuje, jak kończy się nieskuteczne w Polsce eliminowanie takich osób z ruchu drogowego

Odurzeni i z sądowym zakazem jazdy - wiozą śmierć! Czy szybkie sądy pomogą?

Jakub Sz., który w lipcu zabił 9-letniego chłopca na Śląsku, kolejny raz prowadził auto po narkotykach; miał sądowy zakaz kierowania. Taki zakaz w kraju ma ponad 200 kierowców - wielu go jednak łamie. Jak ich skutecznie eliminować z polskich dróg? Może pomóc osądzanie w trybie 48-godzinnym.

Małgorzata Oberlan

Tragedią z 29 .07, do której doszło w Starej Kuźnicy (powiat kłobucki) na Śląsku, żyła cała Polska. Tego dnia wieczorem Jakub Sz., kierując BMW po narkotykach (kolejny już raz) uderzył w 9-letniego chłopca. Fabian jeździł rowerem przed swoim domem.

Dziecko uderzenia nie przeżyło - zmarło w nocy w szpitalu. Opinią publiczną dodatkowo wstrząsnęło to, jak zachował się po wypadku kierowca i kim był. Otóż po uderzeniu nie szukał ratunku dla chłopca, tylko chełpił się tym, że to „on prowadził ten samochód". Potem też jego reakcje były nienormalne. Jak się okazało, 39-letni Jakub Sz. krytycznego wieczoru prowadził samochód pod wpływem narkotyków. W samochodzie natomiast miał jeszcze 29 gramów towaru. Jechało z nim dwoje pasażerów po trzydziestce. Kierowca był przestępcą drogowym. Nie miał prawa w ogóle siadać za kierownicą - nawet całkowicie trzeźwy i przytomny. Miał bowiem sądowy zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat - za jazdę motocyklem po narkotykach, ucieczkę przed policją i posiadanie środków odurzających.

Ponad 200 tys. kierowców z sądowym zakazem

Po tym dramacie znów - na kilka dni przynajmniej - rozgorzała publiczna dyskusja. Znów o tym, jak to możliwe, że piraci drogowi z sądowymi zakazami kierowania - nawet dożywotnimi czy wielokrotnymi - mają je w nosie, notorycznie je łamią i dosłownie wożą śmierć. Znów, bo dyskusja taka pojawia się w Polsce od lat regularnie, gdy dochodzi do tragedii w podobnych okolicznościach.

Obecnie w kraju jest ponad 200 kierowców z aktywnym zakazem kierowania wszelkimi pojazdami mechanicznymi. Niektórzy mają te zakazy orzeczone przez sądy dożywotnio (ponad 70 tys.). Około 36 tys. z tego grona ma te zakazy orzeczone wielokrotnie - od dwóch do nawet kilkunastu razy! Skąd te sądowe zakazy? To skutki pijanych rajdów, piractwa drogowego, spowodowanych wypadków. Decyzją sądów ich sprawcy mają być wyeliminowani z ruchu drogowego - na kilka lat albo i na zawsze. Niestety, co roku polska policja zatrzymuje ponad 15 tys. kierowców łamiących zakaz. To tyle, ile liczą sobie małe miasteczka.

Od nowelizacji Kodeksu karnego w 2017 r. za złamanie takiego prawomocnego zakazu prowadzenia grozi kolejny zakaz - od roku do lat 15, a nawet kara więzienia od 3 miesięcy do lat 5. I cóż z tego wynika? W praktyce niewiele, jak się okazuje, bo problem wciąż istnieje i boli.

Szybki osąd i nieuchronność kary - według ekspertów tylko one mogą skutecznie podziałać. Być może rozwiązaniem jest stosowanie tzw. szybkich sądów wobec kierowców pijanych, odurzonych, łamiących sądowe zakazy jazdy. Tak już się dzieje choćby w Kujawsko-Pomorskiem.

„Tryb 48 h" - przyspieszony

Jak działa tryb przyspieszony osądzania? Dzięki niemu nietrzeźwy kierowca i/lub łamiący sadowy zakaz kierowania, zatrzymany na gorącym uczynku, może w ciągu 48 godzin stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok. W tym czasie wszyscy: od policji przez prokuratora po sąd muszą się zmieścić.

Dotąd w Polsce tryb ten najczęściej stosowany był wobec tzw. stadionowych bandytów. Można go jednak stosować także wobec przestępców drogowych w określonych sytuacjach. Tak się już dzieje także w Kujawsko-Pomorskiem, a ostatnie przypadki - nagłaśniane przez policję i prokuraturę - są tego dowodem.

Zacznijmy od Bydgoszczy. Tutaj 56-letni kierowca recydywista usłyszał wyrok już nazajutrz po tym, jak wpadł w ręce policji 18.07 na ul. Bydgoskiej w Brzozie. - Za nic miał trzy sądowe zakazy, w tym dożywotni, prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Ponownie jechał autem, mając ponad 2 promile alkoholu w organizmie - tak ujmuje w skrócie sytuację kierowcy Seata Cordoby nadkom. Lidia Kowalska z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Mężczyzna trafił do policyjnego aresztu. Policjanci zajęli się gromadzeniem materiału dowodowego. Udowodnili mu również 8 wykroczeń, które popełnił, jadąc seatem z Nowego Dąbia w kierunku Bydgoszczy. Były to m.in. przekroczenie podwójnej linii ciągłej, brak sygnalizowania manewru zmiany pasa ruchu.

Potem sprawą zajęli się śledczy z komisariatu na bydgoskich Wyżynach, którzy wdrożyli tryb przyspieszony, w ramach którego w ciągu 48 godzin podejrzany musi stanąć przed sądem. Tak też się stało. 20.07 Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił wyrok: rok bezwzględnego więzienia, 10 tys. zł do zapłaty, przepadek auta i podtrzymanie w mocy dożywotniego zakazu jazdy.

Wtorek, 21.07 , godz. 20.50. O tej porze właśnie Kamila Ś. zatrzymała policja przy ul. Poznańskiej w Toruniu. Prowadził on Citroena pijany. W pierwszym badaniu alkomat wskazał ponad 1,6 promila alkoholu, w kolejnym - na ponad 1,4. Policjanci ustalili, że Kamil Ś. był już wcześniej prawomocnie skazany przez Sąd Rejonowy w Bydgoszczy za pijaną jazdę. Miał orzeczony sądownie zakaz kierowania wszelkimi pojazdami, ale go łamał. Za to niestosowanie się do zakazu skazany był już w przeszłości przez Sąd Rejonowy w Toruniu.

Wypadki potoczyły się szybko. Już następnego dnia, czyli 22.07, Komisariat Policji Toruń - Rubinkowo skierował do Sądu Rejonowego w Toruniu wniosek o rozpoznanie sprawy tego kierowcy w postępowaniu przyspieszonym. Rozprawa w sądzie odbyła się 23.07. Oskarżony przyznał się do jazdy „na podwójnym gazie". - Sąd uznał Kamila Ś. za winnego zarzucanego mu czynu i wymierzył karę 5 miesięcy pozbawienia wolności, świadczenie pieniężne w wysokości 10 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych i przepadek pojazdu - przekazuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Tryb przyspieszony sądy zastosować mogą też wobec trzeźwych kierowców, którzy łamią sądowe zakazy kierowania. Tak było 27.07 w Toruniu. 26.07 funkcjonariusze z Podgórza, w trakcie patrolu, zwrócili uwagę na dostawczego Volkswagena. Nie spodobał im się jego stan techniczny i zatrzymali go do kontroli. - Kierowcą był 33-letni mieszkaniec pobliskiej miejscowości. Podczas sprawdzania w bazach danych okazało się, że mężczyzna był już w konflikcie z prawem i nie powinien siadać „za kółko". Miał dwa aktywne zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych orzeczone przez sąd, które obowiązywały jeszcze przez kolejne 24 miesiące. Został zatrzymany i trafił do policyjnej celi - relacjonuje mł. asp. Sebastian Dobrzeniecki z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Już 27.07. policjanci doprowadzili 33-latka do Sądu Rejonowego w Toruniu w trybie przyspieszonym. Mężczyznę skazano na 2 lata prac społecznych, dożywotni zakaz prowadzenia i 10 tys. zł do zapłaty. ©℗

Projekt ustawy: obowiązkowa kara bezwzględnego więzienia

Nietrzeźwi kierowcy to nadal wielki problem na polskich drogach. Jak pokazują policyjne statystyki, tylko w ub. roku funkcjonariusze ujawnili ponad 95 tys. takich przypadków. To właśnie pijani za kółkiem spowodowali 1141 wypadków. 124 osoby zmarły, a 1439 odniosło obrażenia. Jak wynika z policyjnych zestawień, najwięcej wypadków po alkoholu (blisko 41 proc.) powodują kierowcy w przedziale wiekowym 25–39 lat. Najwięcej zdarzeń z udziałem alkoholu odnotowuje się w weekendy - w soboty (19 proc.) i niedziele (20,1 proc.).

Prawo i wymierzane kary są coraz surowsze, ale problem wciąż istnieje. Przypomnijmy, że w 2024 r. wprowadzono w Polsce przepisy o przepadku aut pijanych kierowców. Przełożyły się one na tysiące orzeczeń sądowych i miliony zasilające Skarb Państwa w 2025 r. Zdaniem ekspertów wpłynęło to przynajmniej na ograniczenie najtragiczniejszych wypadków. W planie jest jeszcze jedna ważna zmiana prawna. Za złamanie sądowego zakazu prowadzenia auta przez kierowcę, który jest pijany, sąd będzie musiał wymierzyć karę więzienia. Tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach nadal będzie mogła być to kara w zawieszeniu – wynika z projektu ustawy, do którego dotarła „Rzeczpospolita" (3.08).

eprasa.pl e73f62faec

ŁÓDŹ

7-letni chłopiec 6 minut leżał na dnie basenu. Nikt nie widział...

Jak to się stało, że przez prawie 10 minut nikt nie zauważył tonącego w aquaparku 7-letniego chłopca? Sprawę wyjaśnia prokuratura, a łódzcy rodzice zastanawiają się czy ich dzieci na zorganizowanych wakacjach na pewno są bezpieczne.

Matylda Witkowska

Do tragicznego wypadku doszło w poniedziałek (27 lipca) w Aquaparku Fala w Łodzi. Właśnie zaczynał się nowy turnus letnich Wakacji na Fali. Dzieci przyszły do aquaparku wcześnie rano, zjadły śniadanie, o godz. 9 zaczęły zajęcia w wodzie z podziałem na grupy. Tuż przed godz. 10 doszło do tragicznej sytuacji – 7,5 -letni chłopczyk zaczął tonąć podczas zajęć w basenie sportowym.

Dramatyczną walkę chłopca o życie nagrały kamery monitoringu - dziecko przez trzy minuty próbowało utrzymać się na powierzchni „spławikując", czyli kolejno wynurzając się i zanurzając w wodzie. Potem opadło na dno basenu i... leżało tam przez sześć minut, przez nikogo niezauważone.

Leżącego na dnie chłopca dostrzegł dopiero przypadkowy klient Aquaparku Fala, złapał je i na własnych rękach wyniósł na brzeg basenu. Do 78-letniego Łodzianina dotarło po tragedii Radio Łódź. Okazało się, że senior płynął innym torem i kątem oka zauważył leżącego na dnie chłopca. Podpłynął do niego i pluskających się tuż obok dzieci.

- Pytam się, dlaczego tak długo leży pod wodą. Wzruszają ramionami, nie wiedzą. To szybko pod wodę i wyjąłem to dziecko – relacjonował w rozmowie z reporterką Radia Łódź.

FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Po wypadku w aquaparku osoby odpowiedzialne za 7-latka zrezygnowały z pracy

Stan skrajnie ciężki

Wyniesionym na brzeg chłopcem zajęli się ratownicy i wezwane na miejsce pogotowie. Po trwającej aż pół godziny resuscytacji siedmiolatek został odwieziony do Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. To duży szpital, specjalizujący się m. in. w pomocy dzieciom w trudnych medycznie przypadkach. Chłopczyk trafił na oddział intensywnej terapii, gdzie został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej. Lekarze drugi tydzień walczą o jego życie.

- Cały czas trwa leczenie. Chłopiec jest w stanie skrajnie ciężkim, a nawet – krytycznym. Ten stan od półtora tygodnia się nie zmienił – informuje Adam Czerwiński, rzecznik prasowy szpitala.

Lekarze nie ukrywają, że sytuacja dziecka, które było pod wodą aż sześć minut jest trudna. Dla rokowań decydujący będzie stan mózgu chłopca po niedotlenieniu wynikającym z przebywania pod wodą. Ma to być sprawdzone podczas badania rezonansem magnetycznym.

Wiadomo jednak, że tak długie przebywanie pod wodą mogło mieć katastrofalne skutki. Z powodu braku tlenu po kilku minutach przebywania pod wodą dochodzi do nieodwracalnych zmian w mózgu, a w dalszej konsekwencji do śmierci. Czas pozwalający na uratowanie tonącego może się nieznacznie różnić, w zależności od takich czynników, m. in. temperatury wody czy wieku. Jednak szybka pomoc jest kluczowa.

Jak to możliwe, że nikt walczącym o życie dzieckiem się nie zainteresował? To pytanie od kilku dni zadaje sobie w Łodzi wiele osób. Dokładnie bada to też Prokuratura Rejonowa Łódź-Polesie.

Czwórka ludzi patrzyła i nie widziała?

Wiadomo już, że w wewnętrznym basenie sportowym o głębokości 1,30 m przebywała grupa 12 dzieci ze swoją 24-letnią instruktorką. Kobieta miała cztery lata doświadczenia w prowadzeniu takich zajęć, dodatkowo towarzyszyła jej stażystka, dla której feralny dzień był pierwszym w pracy. Przy basenie sportowym czuwało też dwóch ratowników WOPR, którzy powinni byli obserwować taflę wody. To oznacza, że chłopiec tonął przy czwórce dorosłych, którzy powinni byli mu pomóc.

Nieco światła na kulisy wypadku rzucił program TVN „Uwaga". Reporterzy dotarli do ratowników Fali, którzy opowiedzieli o szczegółach. Według nich do tragedii doszło w wąskim przesmyku między basenami. Dodatkowo w tym miejscu miało dyżurować dwóch młodych ratowników, którzy nie znali jeszcze dobrze zakamarków Fali, na które trzeba szczególnie uważać.

- To było w mało widocznej części basenu, na którym było dużo osób – mówił reporterom TVN jeden z ratowników Fali.

Eksperyment ma wyjaśnić, dlaczego nie widzieli

Prokuratura jest jednak zdania, że miejsce tragedii powinno być dla dwóch ratowników dobrze widoczne. Czy tak rzeczywiście było, ma wyjaśnić eksperyment procesowy. Prokuratura chce odtworzyć warunki zdarzenia i sprawdzić, co naprawdę mogli widzieć ratownicy. Do basenu włożona będzie kukła imitująca ciało dziecka – najpierw na trzy minuty będzie położona na wodzie, a potem na sześć minut znajdzie się pod wodą. Na stanowiskach ratowników staną policjanci, którzy odnotują, czy jest ona widoczna.

Eksperyment będzie przeprowadzony w drugiej połowie września, bo... w basenie w którym doszło do tragedii właśnie zaczął się remont i nie będzie wody. Remont planowany był dawna planowana i nie ma związku ze sprawą, został też zaakceptowany przez prokuraturę.

Na razie prokuratura m. in. zabezpieczyła nagrania monitoringu z pływalni, obejrzała je, zatrzymała umowy dotyczące organizacji zajęć, przesłuchała kadrę pracującą tego dnia na basenie i sprawdziła, że osoby sprawujące nadzór nad dziećmi były trzeźwe. Postępowanie prowadzone jest w kierunku narażenia podopiecznego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. W razie zmiany stanu zdrowia dziecka kwalifikacja czynu może ulec zmianie.

Między Falą, WOPR-em i szkołami pływania

Wypadek zwrócił uwagę na skomplikowane relacje w branży ratownictwa wodnego w Łodzi. Wakacje na Fali organizowane były przez Aquapark Fala we współpracy z dwiema firmami: Ratownictwo Wodne Szkoła Pływania i Sportów Wodnych Milan Wilhelmi oraz Akademia Pływania Marta Wilhelmi.

Właściciel szkoły Milan Wilhelmi jest jednocześnie prezesem WOPR w Łodzi i szefem ratowników pracujących na Fali. Aquapark wynajmuje ich od firmy zewnętrznej bo nie ma możliwości samodzielnego prowadzenia dla nich szkoleń. Organizuje je Akademia Pływania.

Po wypadku kilkukrotnie rozmawialiśmy z Milanem Wilhelmim. „Zdaję sobie sprawę z powagi zaistniałej sytuacji. Nie chcę jej w żaden sposób komentować, w szczególności mając na uwadze dobro chłopca i Jego najbliższych oraz toczącego się postępowania. Deklaruję pełną współpracę ze wszystkimi organami, które wyjaśniają ten wypadek" - napisał nam w oświadczeniu.

Po wypadku Wakacjami na Fali zainteresowało się Kuratorium Oświaty w Łodzi. Fala te zajęcia nazywa „kursami", choć w praktyce to półkolonie – oprócz nauki pływania, podstaw ratownictwa i nurkowania dzieci mają opiekę od godz. 7 do 17, trzy posiłki, zabawy plastyczne, wycieczkę a raz na turnus nawet nocowanie na Fali. Tygodniowy kurs kosztuje 1200 zł, można zapisać już czterolatki.

Tymczasem zgodnie z przepisami każdy wakacyjny i feryjny wypoczynek młodzieży – poza zajęciami organizowanymi w szkole dla jej własnych uczniów – powinien być zgłoszony do kuratorium. Dotyczy to też półkolonii, zajęć rozwijających zainteresowania, a także form typu „lato w mieście". Tymczasem Wakacji na Fali nikt nie zgłosił. Dlatego łódzkie kuratorium zapowiedziało kontrolę.

Tymczasem lato w Aquaparku Fala trwa dalej. Po wypadku z zajęć zrezygnowało zaledwie około 5 proc. dzieci. Część kursantów jest zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, a rodzice nie zawsze mają inne opcje zapewniania im opieki.

Na Fali jest bezpieczniej . Aquapark Fala przeprowadził z ratownikami rozmowy, a kierownik obiektu ma częstsze obchody – kiedyś odbywały się co godzinę, teraz są co 30 minut. Po wypadku osoby odpowiedzialne tego dnia za 7-latka na własną prośbę zrezygnowały z dalszej pracy. Milan Wilhemi zapewnił im wsparcie psychiczne.

eprasa.pl e73f62faec

LUDZIE

Ułaskawiony przez prezydenta RP Piotr Pytel jest już wolny, ale wciąż ciąży na nim wyrok dożywocia

Nie dowierzał temu, co słyszy na sali sądowej, kiedy w 2006 niemiecki sąd skazywał go na dożywotnie pozbawienie wolności za zabójstwo, rozbój ze skutkiem śmiertelnym i rozbój. Nie dowierzał, kiedy po 22 latach za kratami, w czerwcu 2026 roku służba więzienna ZK w Rzeszowie zakomunikowała: pakuj się, za godzinę wychodzisz. Nie dowierzał, kiedy z początkiem lipca rozdzwonił się jego telefon: zostałeś ułaskawiony, jesteś wolny.

Andrzej Pięs

Miał 35 lat, kiedy trafił do bawarskiego aresztu śledczego z zarzutem zabójstwa na Ekaterinie I. Owszem, wiedział, o kogo chodzi, w końcu podwoził Tomasza Lisa (bo tak się ten przedstawił) komunikacją miejską w okolice jej mieszkania, wiedział, że Lis wybiera się do niej, żeby obrabować. Piotr od dłuższego czasu mieszkał i pracował w stolicy Bawarii, znał miasto, znał topografię. Lis kilka dni wcześniej przyplątał się do niego, powołał na wspólnych znajomych w Polsce. Ani języka, ani znajomości miasta, Piotr przygarnął 17-latka i źle się to dla niego skończyło. Tamtego dnia podwiózł chłopaka, został na przystanku, Lis miał tylko wygarnąć wszystko co cenne z mieszkania luksusowej prostytutki i zniknąć. Mowy nie było o zabójstwie. Lis wrócił z fantami, wkrótce potem znikł i Piotr nigdy więcej go nie zobaczył, za to wiele o nim usłyszał.

Dzień po zabójstwie z radia dowiedział się, że Ekaterina zginęła w makabryczny sposób: skatowana, nos i usta oklejone taśmą samoprzylepną, udusiła się własną krwią i wymiocinami. Monachijska policja wydała krocie na to śledztwo, sprawdzili każdego, czyj telefon logował się w stacjach BTS w pobliżu mieszkania Ekateriny w chwili zabójstwa, od każdego pobrali próbki DNA, a nuż któreś będą pasować do tych znalezionych na miejscu zbrodni.

Po danych ze stacji BTS i bilingach rozmów trafili na Piotra, kajdany, areszt, przesłuchanie. Niczego nie ukrywał: był w pobliżu, zawiózł Tomasza na miejsce, to Lis poszedł do Ekateriny na rabunek, Piotra w tym mieszkaniu nigdy nie było. I tak na każdym przesłuchaniu. Nie uwierzyli, najpierw zarzut, potem oskarżenia o zabójstwo.

Tomasza Lisa niemieccy śledczy próbowali szukać, nie znaleźli, w końcu dali sobie spokój. Mieli Piotra, wystarczy, żeby zamknąć śledztwo, bo niemiecka opinia publiczna była żądna krwi. A Piotr przed, w trakcie i po wyroku konsekwentnie: to nie ja zabiłem i na potwierdzenie swoich słów domagał się zbadania go na wariografie. Niemieccy śledczy odmówili. Potem akt oskarżenia, proces i wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

– Kiedy pani Ekaterina I. otworzyła rzekomemu klientowi drzwi mieszkania, Lis zadał ofierze, zgodnie ze wspólnie z Pytlem powziętym planem przestępstwa, potężne ciosy przede wszystkim w głowę. Kiedy silnie krwawiąc pani I. straciła przytomność, Lis zakleił, za pozwoleniem P. otwory oddechowe ofiary przyniesioną taśmą klejącą do paczek. Oskarżeni Pytel i Lis mogli oczekiwać lub przewidzieć śmierć pani I., jako konsekwencję takiego sposobu postępowania. Działanie z przemocą i w następstwie tego skutek śmiertelny miało im umożliwić zabranie przedmiotów wartych kradzieży. Łup ten zamierzali zdobyć za cenę śmierci pani I. Po naocznym stwierdzeniu sposobu działania swego pomocnika Pytel wyszedł z mieszkania, ubezpieczając je z zewnątrz. Ustawił się przed domem. Obecność w mieszkaniu w czasie popełnienia czynu udowodniono Pytlowi dzięki wiarygodnym zeznaniom świadka L.- brzmiało uzasadnienie wyroku skazującego Sądu Krajowego Monachium I.

Ciekawa postać ten „świadek L.". Piotr poznał go w areszcie śledczym: przestępca finansowy, któremu groziła deportacja do ojczyzny w Afryce, a tam może nawet śmierć. Piotr z nim rozmawiał „pod celą" o swoich problemach, a ten przeczytał publikację w Tageszeitung, gdzie była fotografia Piotra, informacja o śmierci Ekateriny i prośba: ktokolwiek wie o okolicznościach śmierci, proszony jest o podzielenie się wiedzą. Za nagrodą finansową.

L. pojawił się na na ostatniej rozprawie Piotra, był – jak Piotr mówił po latach – wisienką na torcie tego procesu. Jego zeznania pogrążyły oskarżonego. Kłamliwe zeznania, jak się potem okazało.

Dożywotnie pozbawienie wolności z prawem ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie w 2019 r.: usłyszał Piotr na sali sądowej.

– Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana pode mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę – opowiadał podczas rozmowy jeszcze za kratami. – Chyba nie wszystko z tamtej chwili pamiętam. Na sali niemieckiego sądu nie było nikogo z moich bliskich, po „mojej stronie" była tylko adwokatka.

Niemiecki system penitencjarny tolerował jego obecność do 2009 roku. Potem wysłał pod opiekę polskiego więziennictwa, choć Piotr wcale tego nie chciał. Przede wszystkim dlatego, że w Niemczech dziesięć lat później mógł odzyskać wolność, choćby i warunkowo. Po drugie: niemieckie więzienie w porównaniu z polskim to sanatorium. Po trzecie: z jego wyrokiem w polskim systemie prawnym o zwolnienie warunkowe mógłby ubiegać się dopiero po 2030 roku.

Zwrot akcji... bez zwrotu

Jeszcze zza niemieckich krat słał pisma do tamtejszego wymiaru sprawiedliwości o rewizję sprawy, w końcu był niewinny temu, za co został skazany. Odpowiedzi nie było, albo były odmowne.

„Osiadłszy" za polskimi kratami, napisał m. in. do CBŚ. Polska prokuratura szukała wówczas sprawców wielu brutalnych napadów na kantory, banki, konwoje, hurtownię, wszystkie na terenie Podkarpacia, lubelskiego i świętokrzyskiego. Polscy śledczy przeanalizowali list Piotra, uznali, że może coś wiedzieć o sprawcach, wybrali się w odwiedziny do autora listu, przedstawili szereg zdjęć. Na jednym z nich Piotr rozpoznał Tomasza Lisa.

Kiedy usłyszałem, że resztę życia mam spędzić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem, kolana pode mną się ugięły, miałem ciemność przed oczami, nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę.
PIOTR PYTEL

Kłopot w tym, że niemieckie organy ścigania szukały Tomasza Lisa, człowiek ten w rzeczywistości nazywał się Tomasz W. Stanął przed Sądem Okręgowym w Tarnobrzegu oskarżony o szereg napadów rozbójniczych, udział w zbrojnej zorganizowanej grupie przestępczej i podczas jednej rozpraw nawiązał do wydarzeń z Monachium z 2004 roku.

– Z tą prostytutką to było tak, że ja wszedłem do mieszkania, a Piotr czekał na mnie na zewnątrz – mówił wprost. – W lewej ręce trzymałem kwiatek, podałem jej. Kiedy tylko chwyciła prawą ręką, uderzyłem ją w twarz. Potem kopnąłem i znów uderzyłem. Był moment, że biłem ją tak, jakby mnie coś opętało. Kiedy wychodziłem z łupem z jej mieszkania, ona żyła. Tak głośno oddychała, przykryłem ją kołdrą. Nie mogłem domyć rąk z krwi, czułem taki słodki zapach.

Potem jeszcze wielokrotnie zaprzeczał, że Piotr był na miejscu zbrodni. Polskim śledczym, potem niemieckim śledczym, którzy przed laty prosili polskich o odszukanie Tomaszów Lisów. To po latach polska prokuratura im go dostarczyła w postaci Tomasza W. A ten niemieckiej prokuraturze przyznał się do zabójstwa z 2004 r., wciąż upierając się, że Piotra w mieszkaniu Ekateriny nie było. I to zupełnie bezinteresownie, bo na takim wyznaniu niczego zyskać nie mógł.

W niemieckim sądzie, któremu też przyznał się do popełnienia zabójstwa, dostał dziewięć lat i trzy miesiące pozbawienia wolności i więcej się nie dało, bo kiedy mordował – był nieletnim. Niemiecki Kodeks karny przewiduje maksymalnie taki wyrok dla nieletniego, nawet za najcięższe zbrodnie. Tomasz W. odsiedział swoje, w 2019 r. wyszedł na wolność, w tym samym roku Piotr mógłby dopiero wnioskować o zwolnienie warunkowe, gdyby przebywał w niemieckim zakładzie karnym.

Mając niezbite dowody, kto zabił, a kto nie zabił, ale „siedzi", Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu poczęła zabiegać u niemieckiej, by ta wznowiła proces Piotra.

– W materiałach już procesowych nie natrafiłem na żadną merytoryczną przesłankę, żeby skazany P. był w mieszkaniu Ekateriny – oświadczył badający sprawę policjant Krzysztof W., kiedy zeznawał przed rzeszowskim sądem w sprawie pierwszego wniosku Piotra o prezydencki akt łaski. – Gdyby się wtedy udało ustalić Tomasza W., wyrok na Piotra P. też mógłby być inny.

Niewiele wskórał ówczesny prokurator Prokuratury Rejonowej w Stalowej Woli Adam Cierpiatka, który wraz Krzysztofem W. odwiedzili w 2009 roku Piotra z więzieniu po lekturze jego listu. I też próbował niezasłużenie skazanemu pomóc.

– Sygnalizowałem stronie niemieckiej kwestie dotyczące pana Pytla, przesyłając wyroki i informując o naszych ustaleniach – mówił przez polskim sądem w 2018 r., również w sprawie wniosku Piotra o prezydenckie ułaskawienie. – Zresztą oni mają dwa sprzeczne wyroki, ale odpowiedzieli w sposób mętny, tzn., że oni uważają, że pan Pytel jest tak złym człowiekiem, a działanie na przedpolu zasługuje na dożywocie.

„Działanie na przedpolu", czyli obecność Piotra w pobliżu miejsca zabójstwa i pomocnictwo Piotrowi Lisowi.

Próbę przekonania niemieckiego wymiaru sprawiedliwości podjął jeszcze w 2013 r. prokurator okręgowy w Tarnobrzegu Marian Burczyk, sugerując zasadność wznowienia przez tamtejszy sąd postępowania w sprawie Piotra. Skończyło się podobnym rezultatem, jak zabiegi prokuratora Cierpiatki i policjanta Krzysztofa W.: bawarski wymiar sprawiedliwości nie chciał słyszeć o wznowieniu sprawy Piotra.

eprasa.pl e73f62faec

FOT. BARBARA GALAS

Piotr Pytel pielgrzymuje na Jasną Górę. – Idę podziękować Bogu, ale kiedy wrócę, trzeba będzie podjąć jakieś życiowej decyzje – mówi

Do czterech razy sztuka

Czterokrotnie Piotr zza krat pisał do Kancelarii Prezydenta RP wnioski o prawo łaski. Albo w jego imieniu pisała mama, która nigdy nie uwierzyła w winę syna. Pani Helena przesłała też prośbę o pomoc do Rzecznika Praw Obywatelskich i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Prośbę o „podjęcie działań na rzecz mojego syna Piotra z Rzeszowa".

Wnioski poparte pozytywną opinią sądów okręgowego i apelacyjnego w Rzeszowie, Zakładu Karnego w Rzeszowie, zeznaniami znających sprawę policjantów i prokuratorów, przekonanych materiałem dowodowym, że Piotr nie zabił. Trzykrotnie prezydent Andrzej Duda wnioski zignorował. Nadzieja Piotra za każdym razem słabła, ale nie gasła. Napisał czwarty, już do prezydenta Karola Nawrockiego.

– Nadzieja unosi się falami i opada – przyznawał w wywiadzie dla „Nowin", wciąż jeszcze za kratami. – Liczę się z tym, że i tym razem odmówione mi zostanie prawo łaski, chyba wszystko już sobie wyobrażam. Może się zdarzyć, że wszystkie te zabiegi nigdy nie skończą się dla mnie pozytywnie.

A sprawa Piotra nie była już anonimowa po publikacjach prasowych i po tym, jak zainteresowała się nią polska adwokatura.

W czerwcu tego roku prokurator generalny Waldemar Żurek wydał decyzję, aby Piotra tymczasowo uwolnić, do czasu rozstrzygnięcia wniosku o ułaskawienie. I to się stało 22 czerwca br. na zasadzie: pakuj się, za godzinę stąd wychodzisz.

– Około południa przedstawiciele dyrekcji ZK poinformowali mnie, że dziś mam opuścić celę, ale nie mam pojęcia z jakiego powodu, na jakiej podstawie i z czyjej decyzji – przyznawał już „na wolności", ale wyraźnie mocno oszołomiony biegiem wydarzeń.

Kompletnie niespodziewanie dla siebie, ani dla rodziny, której nie zdążył zawiadomić. Kiedy brama ZK zatrzasnęła się za nim, wsiadł w taksówkę i pojechał do domu. Nie mogąc po drodze napatrzeć się świata niewidzianego od ponad dwóch dekad: mnóstwo samochodów na drogach rodzinnego Rzeszowa, nie to, co z początkiem lat 2000, kiedy ostatni raz te drogi widział. I nie takich samochodów, jak wtedy. Tłumy ludzi, feeria kolorów w przestrzeni publicznej, oszałamiający ruch, kakofonia dźwięków. Stanął w progu domu rodzinnego, mama nie wierzyła, że widzi syna u drzwi. Płacz wzruszenia i śmiech radości na przemian albo jednocześnie.

Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego.
PROKURATOR PIOTR KOSMATY

Tego dnia po południu trudno było z nim rozmawiać, bo rzeczywistość kompletnie go oszołomiła. Kiedy z przyjacielem trafił do supermarketu, by kupić owoce, nie mógł uwierzyć mnogości wyboru, że wszystkiego można dotknąć.

– Nawet takich prostych rzeczy będę się musiał nauczyć – przyznawał następnego dnia.

W ciągu kilku godzin po 22 latach za kratami: niespodzianie uwolniony, w kontakcie z realem bez krat, w domu i z mamą, o czym jeszcze przed południem nie śmiał marzyć. Za dużo tego naraz. A tymczasem mógł rzeczywistość smakować tylko warunkowo w oczekiwaniu na decyzję prezydenta. W „pierwszym pakiecie" ułaskawionych Piotr się nie znalazł. Znalazł się w drugim.

W poniedziałek, 3 sierpnia, komunikat Kancelarii Prezydenta RP obwieścił o trzech ułaskawieniach. Jedno jak ulał pasowało do Piotra: „Osoba, wobec której prezydent zastosował prawo łaski, była skazana za przestępstwa według prawa polskiego, to jest zabójstwo z rozbojem i rozbój".

Rozdzwonił się jego telefon: jesteś wolny. Nie uwierzył, zadzwonił do adwokatów: „sprawdźcie mi to, proszę, nie róbcie mi tego, że na koniec okaże się, że nie o mnie chodzi" – opowiadał dzień po przed rzeszowskim kościołem farnym, skąd wyruszał na pielgrzymkę na Jasną Górę. – Oni mówią: sprawdziliśmy, to jesteś ty – relacjonował wtedy. – Nie panuję nad emocjami. Pozytywnymi emocjami. Wczoraj była decyzja, dziś idę na pielgrzymkę, a przecież zakład karny opuściłem 22 czerwca, w dzień świętej Rity, patronki sprawa beznadziejnych – odnosił się do wieloletnich starań o uwolnienie. – Dla Boga nie ma przypadków.

Pięć tygodni wcześniej był jeszcze za kratami, bez większych nadziei na wolność. Dziś jest wolny i ułaskawiony, ale to był życiowy rollercoaster w wersji turbo. Trudno zapanować nad emocjami.

Wolny i... co dalej?

Wcześniej nie śmiał snuć żadnych dalekosiężnych planów, w końcu odzyskał wolność warunkowo, do czasu decyzji prezydenta. Bo gdyby była odmowna, on musiałby wrócić za kraty, a z taką perspektywą trudno na poważnie planować resztę życia.

– Na razie jeszcze o tym nie myślę, dziś idę podziękować Bogu, ale kiedy wrócę, trzeba będzie podjąć jakieś życiowej decyzje – mówił już ułaskawiony na chwilę przed wymarszem na pielgrzymkę.

Przede wszystkim podreperować zdrowie, mocno nadszarpnięte za kratami. Potem poszukać pracy.

– I nie wracać myślami do czasu, kiedy patrzyłem na niebo przez kraty – deklarował.

Wolny, ale nie uniewinniony, bo wyrok skazujący za potworną zbrodnię wciąż na nim ciąży, nawet jeśli jej nie dokonał. A może ciąży tym bardziej, bo jej nie dokonał. W rozmowie z „Nowinami" tuż po uwolnieniu przyznawał, że chciałby doprowadzić do wznowienia procesu przed niemieckim sądem, w którym miałby szansę na uniewinnienie.

– Tak pół na pół – oceniał wtedy szanse na samo wznowienie procesu.

Sam nie da rady, już próbował

– Ubolewam nad tym, że polskie państwo jest bezradne wobec losu polskiego obywatela, o którego niewinności zdaje się być przekonane – komentował „Nowinom" jeszcze w październiku 2025 roku sprawę Piotra mecenas Paweł Matyja. – Jedna próba zwrócenia uwagi niemieckiej prokuratury na sprawę Piotra, jaką podjęto w 2013 roku, to niewielki wysiłek. Uważam, że Prokurator Generalny powinien zwrócić się do swojego niemieckiego odpowiednika z prośbą o wyjaśnienie tej sytuacji. Wszak niemiecki system prawny też nie zakłada skazywania niewinnych... Być może to spowoduje zainicjowanie działań z urzędu w Niemczech zmierzających do wznowienia postępowania. To nadal możliwe. I bezwzględnie konieczne.

Również w październiku 2025 r. powód niechęci niemieckiego wymiary sprawiedliwości komentował nam prokurator Piotr Kosmaty, który sprawę Piotra zna doskonale:

– Nie rozumiem strony niemieckiej, bo albo tam jest zła wola, albo ignorancja. Nasze prawo karne oparte jest na prawie niemieckim i oba systemy prawne oparte są na starej rzymskiej zasadzie: lepiej uniewinnić sto osób winnych, niż skazać jednego niewinnego. Stan faktyczny i prawny jest bardzo skomplikowany i trzeba dobrej woli po stronie niemieckiej, by problem rozwiązać – mówił prokurator.

©℗

eprasa.pl e73f62faec

OBYCZAJE

Urlop nad Bałtykiem jak ruletka. Upał i sztorm. Wywiało nawet paragony grozy

– Nigdy więcej nie przyjadę nad Bałtyk, zimno. Pogoda urządziła nam survival, a nie spokojne wakacje – mówi młody turysta. Kilka dni później upał i taki komentarz innego turysty: – Tylko polskie morze, piękne, szerokie plaże. Za rok znów tu będziemy

Agnieszka Domka-Rybka

Kto już pojechał w tym roku na wakacje nad Bałtyk, będzie wiedział, o czym mówię. Dostałam pakiet „premium". Trafiłam na deszcz, wiatr, sztorm i upał. Tyle pogodowych atrakcji w zaledwie tydzień! Brakowało tylko śniegu i gradu do kompletu.

Zwykle jeżdżę do nadmorskich „pipidówek", ale przed laty byłam w Łebie i zapragnęłam znów tam pojechać. Przywitał mnie deszcz, a właściwie ulewa. Pierwszym zakupem musiał być płaszcz przeciwdeszczowy. Foliowe peleryny królowały na straganach, zasłaniając mniej chodliwe przy takiej aurze produkty plażowe, jak m.in. parawany, dmuchańce, leżaki, klapki czy chroniące przed słońcem parasole – teraz wzięcie miały zdecydowanie te z przeciwdeszczową misją ratunkową.

AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Gdy znów pada, to... cieszą się właściciele piekarni i cukierni

AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Wakacje bez gofra nad Bałtykiem? To jest niemożliwe. 26 zł: drogi?

Gniotki pokonały pluszowe gęsi i stworki Labubu

Przy jednym ze straganów usłyszałam płacz czy raczej krzyk dziecka i zobaczyłam jego mamę u kresu wytrzymałości: – Pół dnia w wesołym miasteczku, 200 zł, po drodze straż pożarna na monety, kręcone ziemniaki i teraz te obrzydliwe gniotki, nie wytrzymam! – kobiecie wyraźnie puściły nerwy.

Jakie gniotki? Tę wiedzę muszę poszerzyć dzięki AI. Ponoć hitem straganów nad Bałtykiem w sezonie 2026 są kolorowe i elastyczne gniotki sensoryczne Squishy Dumpling, nazywane potocznie „pierożkami". Zastąpiły one popularne w poprzednich latach pluszowe gęsi, kapibary oraz kolekcjonerskie stworki Labubu.

Ojciec chłopca szybko znalazł winnego, a bardziej winowajczynię odpowiedzialną za golenie portfeli: – Przy wspaniałej pogodzie siedzielibyśmy długo na plaży i tyle pieniędzy by nie szło. Ale z drugiej strony, gdybyśmy pojechali, jak rok temu, do Osetnika (plaża Stilo), to co by tam robił nasz Janek w taką ulewę? Dziura nad morzem. Co z tego, że to jedno z ostatnich dzikich i pustych miejsc nad morzem? By się dzieciak nudził, a w Łebie ma liczne atrakcje. I będzie miał co kolegom opowiadać. A za przyjemności trzeba płacić. Kto nie ma miedzi, ten w domu siedzi.

W niepogodę najazd klientów na pewno przeżywają wszelakie budki gastronomiczne, jak np. z goframi. Być nad morzem i nie skusić się na bałtyckiego klasyka? Wszak Bałtyk smakuje goframi! Pachną na każdym rogu i kuszą kubki smakowe.

Wersja na wypasie, czyli z bitą śmietaną i owocami kosztuje 26 zł. Dużo? Dwa, trzy lata temu też jadłam za tyle, ba, trafiały się goferki i za trzy dyszki. W kolejce po tę słodkość słyszę rozmowę pary czterdzieści plus:

– Ostatni raz jestem nad polskim morzem. Znów pech, zimno! Co roku to samo! Pogoda urządziła tu survival, a nie wakacje – irytował się chłopak w białej, markowej bejsbolówce z wielkim, czerwonym parasolem w ręku. – Do tego kicz i dziadostwo na każdym kroku, drożyzna. Śmierdzi starym olejem i wędzonymi rybami. Fuj! Nigdy więcej Bałtyk!

– Ten urlop to test wytrzymałości psychicznej. Polski Bałtyk nie jest wart tych cen – komentowała kobieta w ponczo przeciwdeszczowym w malowane surrealistyczne usta, które skojarzyły mi się z Dalím.

Wysokie ceny nad morzem? Stołując się codziennie w innym miejscu, jadłam dwudaniowe obiady w cenie ok. 40 zł, dwa razy w zestawie była też lemoniada. Naprawdę, trudno nazwać taki rachunek „paragonem grozy". Zresztą, w Łebie jest tak duża konkurencja, że turyści mogą wybierać między rybami, schabowymi, pizzą, pierogami, sushi, a jak komuś za drogo, zawsze może iść do Żabki na hot doga XL. Paragon za bułkę z parówką nie zepsuje humoru. Ale można go za to stracić na plaży, gdy sztorm, gdy leje i wieje.

Lepiej jest, gdy „tylko" wieje, ale wtedy można odlecieć razem z parawanem, wiatr porywa też dmuchane piłki, koła czy materace. Fruwają też flamingi. Dzieci płaczą, a rodzice ratują, co się da. Nie zawsze się da. I znowu ryk!

Gdy jest zimno, ludzie odwołują rezerwacje, inni pakują się i wyjeżdżają. Pensjonaty robią się puste, a naprawdę sporo się tego wybudowało w Łebie i cały czas buduje. Wieczorem ciemne okna widać głównie w apartamentach, bo wczasowicze wybierają jednak tańsze kwatery i ośrodki wypoczynkowe. Koszt pokoju przy takiej konkurencji to żadne tam zdzierstwo.

Nigdzie indziej na świecie nie ma takiego klimatu

Pewnego dnia wychodzi słońce. Deszcz przestaje padać. Wiatr przestaje wiać. Fale leniwie suną po wodzie. Morze nie grzmi i nie szaleje. Plażowicze szaleją. I od razu inaczej układają się plażowe dyskusje. Czuć przyjemną atmosferę, jak np. między dwiema koleżankami, które spacerują brzegiem morza z pieskami rasy chihuahua. Nie wiem, co mam do tych psiaków... Dlatego zupełnie odwracam od nich wzrok i skupiam się na rozmowie dziewczyn.

– Nie ma to jak Bałtyk, nigdzie indziej na świecie nie ma takiego klimatu. Jest cudowny! Kocham za szerokie plaże. Za rok też przyjadę. Przyjedziemy, prawda, Coco? – mówi młoda dama do swojej chihuahua'y.

Druga z pań wspomina obiad:

– Spora porcja flądry z frytkami i surówką za 49 zł to jedzenie za bezcen. „Paragony grozy" nad Bałtykiem? Jakie „paragony grozy?"

Wygląda na to, że słoneczna pogoda sprawiła, że ci, którzy już żegnali się z Bałtykiem na zawsze, pokochali go z dnia na dzień na nowo. Za rok znów będą przeciskać się w tłumie.

Ile w tym roku wydamy na wakacje?

Wydamy 2024 zł na osobę – wynika z raportu „Wakacyjny Portfel Polaków 2026", opracowanego przez Związek Banków Polskich. Wakacje będą droższe, bo rok temu to było 1761 zł (o 281 zł mniej). Przeciętne gospodarstwo domowe planuje przeznaczyć 5 105 zł, tzn. o ponad 700 zł więcej niż rok temu – to wzrost o 16 proc. Aż 80 proc. nie planuje na wakacje wziąć kredytu czy pożyczki. To, zdaniem autorów raportu, ważny sygnał, pokazujący utrzymującą się wysoką świadomość finansową gospodarstw domowych.

ZBP radzi też, aby na wakacjach chronić swoje pieniądze i dane osobowe. Nawet najbardziej zaawansowane zabezpieczenia nie zastąpią naszej ostrożności i rozwagi, m.in. podczas korzystania z bankomatów i terminali płatniczych. Oszuści podszywają się również pod znane firmy, właścicieli obiektów noclegowych czy popularne platformy rezerwacyjne, licząc na to, że użytkownik podejmie decyzję bez dokładnej weryfikacji otrzymanej wiadomości. Uwaga na fałszywe strony internetowe łudząco przypominające znane serwisy rezerwacyjne, których celem jest wyłudzenie danych logowania lub danych karty płatniczej. Kolejne oszustwo polega na przejęciu kont właścicieli obiektów noclegowych i wysyłaniu próśb o dopłatę lub ponowną autoryzację płatności poza oficjalną platformą. Trzeci schemat to publikowanie fałszywych lub wprowadzających w błąd ofert noclegowych, które kończą się utratą pieniędzy lub rozczarowaniem po przyjeździe na miejsce. Sprawdzajmy wszystkie informacje.

A na koniec dobra rada dla tych, którzy dopiero wybierają się nad Morze Bałtyckie. Polecam zabrać kostium kąpielowy, kurtkę przeciwdeszczową, bluzę, czapkę, trochę pieniędzy i... odrobinę dystansu. ©℗

eprasa.pl e73f62faec

PASJE

Nie tylko dostarczam listy. Czasem jestem jedynym gościem seniora

Listów jest dziś mniej, paczek coraz więcej, ale jedno pozostaje niezmienne – mieszkańcy wciąż czekają na swojego listonosza. Dawid Ziomek od ponad 20 lat każdego dnia, niezależnie od pogody, przemierza swój rejon, dostarczając nie tylko przesyłki i papierowe wydanie „Nowin", ale przede wszystkim dobre słowo, uśmiech oraz chwilę rozmowy

Urszula Sobol

Ponad 20 lat pracy jako listonosz to imponujący staż. Co sprawia, że ten zawód wciąż daje panu tyle satysfakcji?

Lubię to, co robię. Każdy dzień jest inny. Spotykam różnych ludzi, rozmawiam z nimi, widzę, jak zmienia się otoczenie, a także osiedla i całe społeczności. Listonosz to nie tylko osoba, która dostarcza listy czy przesyłki. Często jestem dla mieszkańców bardzo dobrym znajomym, z którym można zamienić kilka słów. Dla niektórych, zwłaszcza osób starszych, czasem jedynym gościem, którego widzą w ciągu dnia. Motywację daje mi również poczucie, że moja praca ma sens i jest potrzebna. Mimo rozwoju technologii wciąż są rzeczy, których nie da się zastąpić: to ważna przesyłka, urzędowy list czy zwykła życzliwość i uśmiech przy doręczaniu korespondencji. Największą satysfakcję sprawia mi zaufanie ludzi. Kiedy słyszę zwykłe „Dzień dobry" albo widzę, że ktoś cieszy się na mój widok, wiem, że przez te wszystkie lata udało mi się zbudować wspaniałe relacje. To właśnie one sprawiają, że każdego dnia z przyjemnością i radością wychodzę w swój rejon.

Jak przez lata zmienił się zawód listonosza?

Zmieniło się naprawdę bardzo dużo. Kiedy zaczynałem pracę w 2004 roku, torba listonosza była wypełniona przede wszystkim tradycyjnymi listami: prywatną korespondencją, kartkami czy rachunkami. Dziś takich listów jest jakby mniej, bo wiele spraw załatwiamy przez internet czy różnego rodzaju aplikacje. Za to znacznie wzrosła liczba paczek. Rozwój zakupów internetowych sprawił, że stały się one codziennością w pracy listonosza. Coraz częściej dostarczamy przesyłki zamówione przez internet, a okresy przed świętami czy innymi okazjami potrafią być naprawdę intensywne. Zmieniły się także oczekiwania klientów.

Czyli...

Dzisiaj liczy się nie tylko terminowość, ale również dobra komunikacja i wysoka jakość usługi. Listonosz musi być elastyczny, dobrze zorganizowany i gotowy na różne sytuacje. Mimo tych wszystkich zmian jedno pozostało niezmienne: najważniejszy w tej pracy jest kontakt z ludźmi. To właśnie on sprawia, że ten zawód wciąż ma swój wyjątkowy charakter i daje dużo satysfakcji.

FOT. KRRZYSZTOF KAPICA

Dawid Ziomek od ponad 20 lat pracuje jako listonosz. Każdego dnia przemierza w Rzeszowie kilkanaście kilometrów, by dostarczyć mieszkańcom listy, paczki i prasę

Co jest największym wyzwaniem w pracy listonosza?

Mój dzień zaczyna się wcześnie rano w Urzędzie Pocztowym Rzeszów 6. Najpierw należy przygotować korespondencję i przesyłki, ułożyć je według trasy oraz sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Dopiero wtedy mogę wyruszyć w swój rejon. Każdego dnia pokonuję około 15 do 20 kilometrów pieszo, niezależnie od pogody. Latem towarzyszy mi upał, zimą mróz i śnieg, a jesienią czy wiosną często deszcz. Pogoda nie wybiera, a listonosz musi dotrzeć do każdego adresata. Ta praca wymaga dobrej organizacji, odpowiedzialności i kondycji. Trzeba pamiętać o terminowym doręczeniu przesyłek, zadbać o bezpieczeństwo powierzonych dokumentów i jednocześnie znaleźć czas na rozmowę z mieszkańcami. Każdy dzień przynosi coś nowego. Czasem jest to konieczność wniesienia ciężkiej paczki, innym razem odnalezienie adresu, który nie jest łatwy do zlokalizowania, albo zmierzenie się z niesprzyjającą pogodą czy bardzo ruchliwą ulicą. Największym wyzwaniem jest jednak pogodzić tempo pracy z uważnością na drugiego człowieka. Staram się, żeby każdy mieszkaniec czuł, że nie jest tylko kolejnym adresem na liście. Czasem wystarczy krótka rozmowa, życzliwe „Dzień dobry" czy zwykły uśmiech, żeby komuś poprawić dzień. To właśnie takie chwile przypominają mi, że praca listonosza to nie tylko doręczanie przesyłek, ale także budowanie codziennych, wspaniałych relacji z ludźmi.

Mówi pan, że w tej pracy najważniejsze są relacje z ludźmi. Czy jakieś spotkanie szczególnie zapadło Ci w pamięć?

Przez ponad 20 lat takich historii uzbierało się naprawdę wiele. Najbardziej zapadają mi jednak w pamięć nie wielkie wydarzenia, ale zwykłe, codzienne spotkania. W moim rejonie są osoby, które znam od lat. Widziałem, jak dorastały dzieci, jak zmieniały się całe rodziny i sąsiedztwa. Dzisiaj często witamy się po imieniu. Zamieniamy kilka słów na przeróżne tematy czy o codziennych sprawach. Jako listonosze jesteśmy też w pewnym sensie świadkami najważniejszych momentów ludzkiego życia. Widzimy chwile radości, kiedy dostarczamy wyczekiwane przesyłki, ale bywamy też blisko tych najtrudniejszych momentów. Nigdy nie zapomnę spotkania z pewnym starszym panem, którego znałem od wielu lat. Wiedziałem, że ciężko choruje, że zbliża się kres jego życia. Kiedy pewnego dnia przyszedłem do niego, choć było to bardzo trudne, znalazł w sobie siłę, aby pożegnać się ze mną. Przytuliliśmy się, zostały wypowiedziane ostatnie słowa pełne wdzięczności za wszystko i obaj mieliśmy świadomość, że widzimy się po raz ostatni. Kilka dni później dotarła do mnie wiadomość o jego odejściu. To było jedno z tych spotkań, które na zawsze pozostają w pamięci i przypominają, jak wielką wartość mają zwykła obecność, życzliwość i relacje z drugim człowiekiem.

Czy w dobie technologii i szybkich wiadomości papierowy list wciąż ma dla pana wyjątkową wartość?

Odręcznie napisany list ma swoją duszę, bo niesie nie tylko słowa, ale także obecność drugiego człowieka. Widać w nim charakter pisma, sposób stawiania liter, czasem ślad pośpiechu czy wzruszenia. Tego nie da się skopiować ani wysłać jednym kliknięciem. Nie jestem przeciwnikiem nowych technologii. Telefon, e-mail czy komunikatory bardzo ułatwiają życie i sprawdzają się, gdy liczy się szybkość. Jednak list ma zupełnie inną wartość. Pisząc go, poświęcamy komuś swój czas, zatrzymujemy się na chwilę i zastanawiamy nad każdym słowem. Wiadomości w telefonie szybko giną wśród setek innych, a list można schować do szuflady, wrócić do niego po latach i ponownie przeżyć emocje. Wiele osób przechowuje listy od rodziców, dziadków czy bliskich, których już z nami nie ma. Taki list staje się bezcenną pamiątką i częścią rodzinnej historii, dlatego warto czasem wziąć kartkę, pióro lub długopis i napisać kilka szczerych zdań do kogoś bliskiego. To prosty gest, który może sprawić ogromną radość, a po latach stać się jedną z najcenniejszych pamiątek.

Dostarcza pan również papierowe wydanie gazet?

Oczywiście. Od początku mojej pracy doręczanie prenumeraty było częścią codziennych obowiązków. Gdy wracam myślami do 2004 roku, pamiętam zapach świeżo wydrukowanej gazety, który towarzyszył nam podczas przygotowywania przesyłek i ruszania w rejon. Przez lata miałem wrażenie, że Poczta i „Nowiny" są sobie bardzo bliskie. My dostarczaliśmy gazetę, a mieszkańcy czekali na nią przy porannej kawie. Wielu czytelników od lat korzysta z prenumeraty i z uśmiechem odbiera kolejne wydania. To pokazuje, że papierowa gazeta wciąż ma swoje miejsce w codziennym życiu. Lubię żartobliwie mówić, że jeśli ktoś chce codziennej wizyty listonosza, wystarczy zamówić prenumeratę „Nowin". To także okazja do bliższych relacji z czytelnikami: znamy się od lat, zamieniamy kilka słów, a gazeta staje się pretekstem do tych codziennych spotkań. Papierowe wydanie to nie tylko informacje, ale też element porannego rytuału, chwila spokoju z filiżanką kawy i możliwość przeczytania wiadomości. Cieszę się, że jako listonosz mogę być częścią tej codzienności.

Został pan nominowany do ogólnopolskiego plebiscytu „Listonosz Roku 2026". Co oznacza to wyróżnienie?

Odbieram to nie tylko jako docenienie mojej pracy, ale także wszystkich listonoszy, z którymi miałem zaszczyt pracować przez ponad 20 lat. Jeśli dziś reprezentuję Podkarpacie, to czuję, że reprezentuję również wszystkich listonoszy naszego regionu. To osoby, które każdego dnia, niezależnie od pogody i liczby kilometrów, wykonują swoją pracę z zaangażowaniem, odpowiedzialnością i życzliwością wobec mieszkańców. Nie proszę o głosy wyłącznie dla siebie. Jeśli ktoś zdecyduje się mnie poprzeć, będzie to dla mnie znak uznania dla całej naszej grupy zawodowej. Bo siłą pracy listonosza nie są tylko listy i paczki, ale przede wszystkim relacje z ludźmi, rozmowy i zaufanie budowane przez lata. Wiem, że człowiek nie pamięta wszystkich doręczonych przesyłek, ale pamięta ludzi spotkanych na swojej drodze. Jeśli udało mi się dostarczyć mieszkańcom nie tylko przesyłki, ale także trochę uśmiechu i życzliwości, to będzie dla mnie największa nagroda. Głosy mieszkańców będą dla mnie radością i zobowiązaniem, aby godnie reprezentować listonoszy Podkarpacia. ©℗

eprasa.pl e73f62faec

AUTOREKLAMA
ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA
nasze komunikaty.pl
aktualne z całej Polski przetargi

DROBNE

Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAM

PÓŁ bliźniaka os. Bukowe Koszalin, 511-704-186, 880-000-995.

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

SPRZEDAM działki budowlane o powierzchni 1500m^2 i 1700m^2, Osieki gm. Sianów, blisko morza oraz jeziora Jamno, działki pod budownictwo mieszkaniowe, jednorodzinne i rekreacyjne, nie komercyjne, 887-053-539.

Praca

ZATRUDNIĘ

Szukamy cieśli, zbrojarzy do pracy w Niemczech. Praca od zaraz. Niemiecka umowa, darmowe zakwaterowanie. Znajomość j. niemieckiego będzie dużym atutem. Kontakt tel. 693 795 178. Zadzwoń już dziś.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

REKLAMA 0111562220
FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m^2, powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.
Tel. kontaktowy 603 920 399

HISTORIA

Zielone: „Jedź!”. Czerwone: „Stój!”

Bez tego wynalazku ruch uliczny byłby chaosem. Po raz pierwszy sygnalizację elektryczną zastosowano w Cleveland w Ohio. 5 sierpnia 1914 r. na skrzyżowaniu Euclid Avenue i East 105th Street pojawiło się urządzenie regulujące ruch.

Mariusz Grabowski

Autorem sygnalizacji był James Hoge, który zastosował dwa kolory – czerwony i zielony, jak również sygnał dźwiękowy informujący o zmianie koloru światła. Trzeci kolor, bursztynowy i sygnalizujący zmianę, został wprowadzony dopiero kilka lat później.

FOT. CC

Cleveland. Pierwsza sygnalizacja świetlna na świecie

Londyńskie światła

Hoge wynalazł urządzenie, które z powodzeniem stosowane jest do dziś. Ale i wcześniej były próby regulowania ruchu ulicznego, choć bez użycia elektryczności. Historycy techniki podają, że 9 grudniu 1868 r., przed budynkiem brytyjskiego parlamentu w Westminster zainstalowano pierwszą na świecie gazową sygnalizację świetlną. Skonstruował ją inżynier kolejnictwa John Peake Knight.

Sygnalizacja pracowała w trybie dziennym i nocnym. W dzień nadawała sygnały za pomocą ramion „stop” i „go”, w nocy nadawała zaś sygnały świetlny czerwony i zielony. Sygnały zmieniał policjant siedzący w latarni.

„Keep right”

W Stanach Zjednoczonych, kraju motoryzacji i elektryczności, rozwiązanie z Londynu nie mogło się sprawdzić. Oblicza się, że w chwili gdy Hoge pracował nad swoim wynalazkiem w USA na 1000 mieszkańców przypadało już 96 aut.

Dzieląc ulice z pieszymi i jeżdżąc nieprzewidywalnie, kierowcy powodowali alarmującą liczbę ofiar śmiertelnych i wypadków. Zaczęto zatem wprowadzać kodeksy, w tym najpopularniejszy Wiliama Phelpsa Eno, który już w 1903 r. zastosował pierwsze zasady uspokojenia ruchu, ronda, wyspy na środku skrzyżowań, a dla kierowców skręcających w lewo na skrzyżowaniu wymóg skrętu pod ostrym kątem prostym.

Hoge z patentem

Wynalazek Hoge’a składał się z czterech par czerwonych i zielonych świateł, które służyły jako wskaźniki „stop” – „go”, z których każdy był zamontowany na słupku narożnym. Konstrukcja była prosta: operator w kabinie przestawiał przełącznik, aby zapalić czerwone lub zielone światło na przewodach zawieszonych nad każdą stroną skrzyżowania.

System pozwalał na ręczne przełączenie w tryb awaryjny na wypadek przejazdu wozu strażackiego. Operator zapalał też czerwone dla wszystkich wlotów, oczyszczał w ten sposób skrzyżowanie dając wolną drogę dla straży pożarnej.

W 1918 r. James Hoge otrzymał patent USA nr 1.251.666 za „miejski system sterowania ruchem drogowym”.

Trzy kolory

Jak dodaje Adam Sobieraj, specjalista od historii ruchu drogowego, sześć lat później wynalazek Hoge’a został udoskonalony – w Detroit powstała pierwsza „czterokierunkowa” sygnalizacja autorstwa policjanta Williama Pottsa. W 1922 r. kolejny wynalazca – Garrett Morgan dodał do instalacji trzecie światło koloru bursztynowego, tego samego koloru, co na kolei. Stworzył tym samym w pełni automatyczną sygnalizację świetlną, którą z czasem zaczęły kontrolować automatyczne zegary.

Jego wynalazek miał nie tylko walor praktyczny, ale dał włodarzom miast olbrzymie oszczędności. Instalacja z Cleveland kosztowała miasto 1,5 tys. dolarów. Ale korzystanie z automatycznego zegara przyniosło rewolucję na skrzyżowaniach – zniknęli z nich policjanci.

Genialny Morgan

Garrettowi Augustusowi Morganowi (1877-1963), faktycznemu twórcy znanego wszystkim do dziś sygnalizatora ulicznego, warto poświęcić kilka słów. Sygnalizator jego pomysłu składał się ze słupka w kształcie litery T, z ramionami jak w semaforze w trzech kolorach. Uzyskał nań stosowny patent i zarobił majątek.

Morgan był człowiekiem o wielkiej wyobraźni. Prócz sygnalizatora był także pomysłodawcą elektrycznego grzebienia do układania włosów, zestawu do nakładania farby na włosy oraz hełmu połączonego z maską przeciwgazową.

Urządzenie mogło budzić obawy: miało postać bawełnianego kaptura wyposażonego w dwa długie zwisające do ziemi węże umożliwiające oddychanie (w założeniach powietrze przy gruncie miało być mniej zanieczyszczone). W celu lepszego filtrowania powietrza w ich końce wtykane były wilgotne gąbki.

Elektronika i komputery

Wróćmy do motoryzacji. W 1928 r. w Baltimore zaprojektowano i wdrożono sygnalizację świetlną, która „reagowała” na ruch uliczny. Kierowcy niejako informowali światła o tym, że znajdują się przed nimi i czekają na możliwość przejazdu, dźwiękiem klaksonu samochodowego.

Pięć lat później pomyślano również o pieszych i również dla nich zainstalowano specjalne przyciski, które miały wpływ na tempo zmiany świateł. Kiedy w drugiej poł. XX w. pojawiły się pierwsze komputery, w Toronto wprowadzono pionierską sygnalizację sterowaną komputerowo.

Ampelmännchen

Pierwsza sygnalizacja sterowana zegarem, czyli systemu Morgana, pojawiła się w Europie w Berlinie, na Placu Poczdamskim w grudniu 1924 r. Zainstalowana była na 8,5-metrowej tzw. wieży sterującej, zaprojektowanej przez architekta Jeana Krämera.

W jej wnętrzu znajdowało się stanowisko dla policjanta, który ręcznie zmieniał sygnały świetlne widoczne z pięciu stron skrzyżowania. Wieża została rozebrana w październiku 1937 r. podczas budowy metra. Dziś stoi tam jej replika.

Ale Niemcy mają inny też oryginalny wkład w historię sygnalizacji ulicznych. To tzw. Ampelmännchen („człowieczek ze świateł”), czyli antropomorficzna postać przedstawiona na sygnalizacji świetlnej dla pieszych. Zaprojektowana została w 1961 r. przez projektanta i psychologa transportu Karla Peglaua.

A w Polsce?

Nad Wisłą historia świateł drogowych ma swój początek już w roku 1926. Wówczas to właśnie na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej w Warszawie stanęło pierwsze urządzenie automatycznie kierujące ruchem (kolejne zainstalowano na rogu Złotej i Żelaznej). Do tej pory ruch na skrzyżowaniu regulował policjant stojący na środku jezdni lub w specjalnej budce. Światła miały tylko dwie barwy, trzecia została wprowadzona w 1934 r.

W 1967 r. na ul. Grójeckiej uruchomiono pierwszą sygnalizację wzbudzaną przez pieszych, zaś dwa lata później powstał pierwszy polski system skoordynowanego sterowania sygnalizacją. W 1974 r. wprowadzono w Polsce pierwszą w pełni akomodacyjną tzw. sygnalizację wielofazową, umożliwiającą sterowania ruchem na skrzyżowaniach.

eprasa.pl e73f62faec

CZYTELNIA

„Wpadnij, napijemy się czegoś, pogadamy”

Jak dowodzą biografowie Johna Steinbecka, uwielbiał on pisać listy. Przelewanie myśli na papier stanowiło dlań coś więcej niż tylko codzienny rytuał. Były kluczem do odnalezienia odpowiedniego rytmu, rozgrzewką, która pozwalała mu płynnie przejść do sedna twórczości.

Najobficiej powstawały równolegle z kolejnymi rozdziałami „Na wschód od Edenu”, stanowiąc intymny komentarz do rozwijającej się historii. Pisarz pobił wówczas epistolograficzny rekord, wysyłając do Pascala Coviciego, swego bliskiego przyjaciela i redaktora z wydawnictwa The Viking Press, tony korespondencji.

Steinbeckowe listy dotykają ponadto niezwykle szerokiego wachlarza tematów – od technicznych problemów z planowaniem skomplikowanej fabuły, przez próby warsztatowe i poszukiwanie idealnego słowa, aż po bardzo osobiste rozważania, które nierozerwalnie splatały się z procesem tworzenia.

Dzięki nim możemy zobaczyć Steinbecka nie tylko jako tytana literatury (noblistę z 1962 r.), ale także jako człowieka z jego codziennymi zmaganiami, dyscypliną, wątpliwościami i niezaspokojoną potrzebą rozmowy z kimś, komu po prostu bezgranicznie ufał.

John Steinbeck, „Dziennik pisarza. Na wschód od Edenu w osobistych zapiskach”, wyd. Prószyński i S-ka,, Warszawa 2026, cena 54,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Rafał Brzozowski

Jest już żonaty

W minioną sobotę Rafał Brzozowski i jego wybranka o imieniu Helena wzięli ślub w kościele w Nowym Dworze Mazowieckim. Nowożeńcy zadbali o prywatny charakter wydarzenia, dlatego przy wejściu do świątyni ośmiu ochroniarzy pilnowało, by na uroczystość weszły wyłącznie osoby posiadające imienne zaproszenia. Pan młody zaprezentował się w białym garniturze, natomiast panna młoda zachwyciła w efektownej sukni z dekoltem typu sweetheart, gorsetowym stanikiem i subtelnie opadającymi ramiączkami. W ślubie uczestniczyło aż 400 gości, w tym Izabella Krzan, Marta Manowska, Małgorzata Tomaszewska czy Krzysztof Gojdź, który zabrał na mszę... swego psa. W drodze do ołtarza nie obyło się bez wpadki. Druhna przydepnęła welon panny młodej, przez co ten spadł jej z głowy.

Anna Lewandowska

Nie ma poczucia winy

Celebrytka szykuje się do przeprowadzki z całą rodziną za ocean. Żeby wywołany tym stres nie odbił się na jej córkach, obie dziewczynki spędzają wakacje u rodziny. Lewandowska zamieściła na InstaStories zdjęcia z tego wypoczynku i napisała: „Ostatnio otrzymałam kilka wiadomości (i to od panów): „Jak możesz tak wyjechać i zostawić dzieci?!”. Normalnie: wsiadam, jadę, a dzieci płaczą... ale tylko wtedy, gdy musimy już wracać do domu. Dziewczynki mają wakacje życia u babć z całą naszą rodziną (konie, traktory, brak limitów na słodycze) i zarówno one, jak i rodzina są przeszczęśliwi. I nie, nie mam poczucia winy, bo dzieci są pod najlepszą opieką na świecie”.

Sandra Kubicka

Nosiła podarte dżinsy

Niedawno celebrytka udzieliła wywiadu „Vivie”, w którym opowiedziała o swym trudnym dzieciństwie. Kubicka wychowywała się bez ojca, który mieszkał na tej samej ulicy, ale nie utrzymywał z nią kontaktów. Matka modelki wyjechała do USA, aby w Miami pracować jako sprzątaczka w hotelu i wysyłała pieniądze do Polski. Sandra mieszkała od siódmego roku życia z dziadkami. – Moja mama wysyłała mi ubrania ze Stanów Zjednoczonych. Wtedy modne były jeansy z dziurami. Ja pamiętam, jak poszłam raz do szkoły, taka uradowana, że mam takie trendy, fajne jeansy, a dzieci dokuczały, że mam porwane te jeansy, że pewnie jestem z tak biednej rodziny, że po prostu nie stać mnie na normalne – powiedziała „Vivie”.

FOT. SYLWIA DABROWA

Sylwia Bomba jest widywana u boku nowego partnera – tak twierdzą plotkarskie media

Alicja Bachleda-Curuś

Gawędziła po angielsku

Od kilku dni popularna aktorka, która na co dzień mieszka w Los Angeles, przebywa z synem Henrym Tadeuszem w Polsce. Najpierw zauważono ich w Warszawie, gdzie wybrali się o zmroku na plenerową imprezę. Podczas nocnego wyjścia oboje postawili na luźne stylizacje. Oboje wyraźnie cieszyli się wspólnym czasem i rozmowami w gronie znajomych. Po zakończonym wieczorze ruszyli w stronę taksówki. Potem w miniony weekend wypatrzono aktorkę i jej syna w Krakowie, gdzie zapewne pojawili się, aby odwiedzić dziadków chłopaka. Alicja i Henry wybrali się do jednego z podwawelskich kin, aby obejrzeć „Odyseję”. Po seansie paparazzi nagrali ich, gdy maszerowali po parkingu w kierunku zaparkowanego tam starszego Audi A3. W drodze do auta szesnastolatek podskakiwał i gawędził z mamą po angielsku.

Sylwia Bomba

Ma nowego partnera

Przez ponad dwa lata Sylwia Bomba i Greg Collins uchodzili za jedną z najbardziej zgranych par w rodzimym show-biznesie. Wspólne wakacje, zdjęcia w mediach społecznościowych, a nawet występy w telewizyjnych programach sprawiały, że wróżono im stabilny związek. Uczucie między celebrytą, znanym z TVN Turbo, a gwiazdą TTV narodziło się na planie programu „Nasi w mundurach” w 2023 r. Od niedawna Bomba i Collins przestali jednak pokazywać się razem. Para coraz rzadziej publikowała też wspólne treści w mediach społecznościowych. Okazuje się, że nie bez powodu. – Do rozstania doszło już jakiś czas temu. Sylwia jest widywana u boku nowego partnera – mówi informator Pudelka.

Skolim

Nie przyjmuje czworonogów

Rodzimy „król latino” od lat udowadnia, że ma smykałkę do biznesu. Ma własną stację benzynową, firmuje wyroby mięsne, a także sygnuje swym pseudonimem walizki czy majtki. Jakiś czas temu pochwalił się również nadmorskim pensjonatem z pokojami do wynajęcia. Willa Drako to obiekt położony w Międzyzdrojach ok. 100–150 metrów od plaży. Do wyboru są w nim pokoje dwu- i trzyosobowe oraz większe apartamenty. Niektóre z nich mają również balkony, które stanowią dodatkowy atut pobytu. Ceny noclegów są uzależnione od wielkości pokoju i wybranego terminu. Za dwie noce w pokoju dwuosobowym z balkonem trzeba zapłacić ok. 1.119 zł w ofercie bezzwrotnej. Pokój trzyosobowy to koszt ok. 2.382 zł. Uwaga: pensjonat nie przyjmuje czworonogów.

Klaudia El Dursi

Ma potrzebę wolności

Prezenterka jest obecnie związana z przedsiębiorcą Jackiem Leszczyńskim. Para doczekała się syna i córki, ale wychowuje też syna El Dursi z jej poprzedniego związku. Kiedy niedawno celebrytka urządziła w internecie sesję pytań i odpowiedzi z fanami, jeden z nich rzucił: „Czy Klaudia El Dursi ma męża?”. Na to prezenterka odpowiedziała dowcipnie: „Nikogo nie stać na to, żeby być moim mężem”. Po czym dodała: „Męża nie mam, mam partnera. Nigdy o tym nie marzyłam. Dziewczyny marzą o różnych rzeczach – białych sukniach, weselach, a ja w ogóle nie. Od dziecka miałam silną potrzebę bycia niezależną i wolną. I chyba takie niezamężne życie daje mi złudne poczucie wolności. Dzieci tak nie wiążą, ale ślub już jakoś tak” – podsumowała.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Serce podpowie najlepszy wybór. Horoskop dzienny wróży, że gest życzliwości wróci do Ciebie z nawiązką.

Ryby (19.02 - 20.03)
Kreatywność pomoże rozwiązać problem. Horoskop na dziś radzi otworzyć się na nowe możliwości i ludzi.

Baran (21.03 - 19.04)
Wytrwałość zostanie nagrodzona. Horoskop dzienny na piątek mówi, że szybko osiągniesz zamierzony cel.

Byk (20.04 - 20.05)
Energia sprzyja działaniu. Horoskop dzienny mówi, że krótka podróż lub spacer przyniosą inspirację.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Intuicja wskaże właściwy kierunek. Horoskop na dziś radzi nie ignorować drobnych znaków od losu.

Rak (22.06 - 22.07)
Harmonia w relacjach poprawi humor. Horoskop dzienny na piątek mówi, że znajdziesz rozwiązanie trudnej sprawy.

Lew (23.07 - 22.08)
Szczegóły okażą się ważne. Horoskop dzienny zapowiada, że dobra organizacja pozwoli uniknąć zbędnego stresu.

Panna (23.08 - 22.09)
Twoja pewność siebie przyciągnie sukces. Horoskop na dziś to wskazówka, by działać śmiało, lecz pamiętaj też o rozwadze.

Waga (23.09 - 22.10)
Dom i bliscy dadzą Ci wsparcie. Horoskop dzienny na piątek mówi, że wieczór przyniesie wyciszenie i dobrą wiadomość.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Dobry moment na nowe pomysły. Horoskop dzienny wróży, że uśmiech otworzy drzwi do ciekawych znajomości.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Cierpliwość przyniesie efekty. Horoskop na dziś mówi, że miła rozmowa poprawi Ci nastrój i doda energii.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Dzień sprzyja odważnym decyzjom. Horoskop dzienny na piątek wróży, że jeśli zaufasz intuicji, zyskasz spokój i nowe możliwości.

eprasa.pl e73f62faec

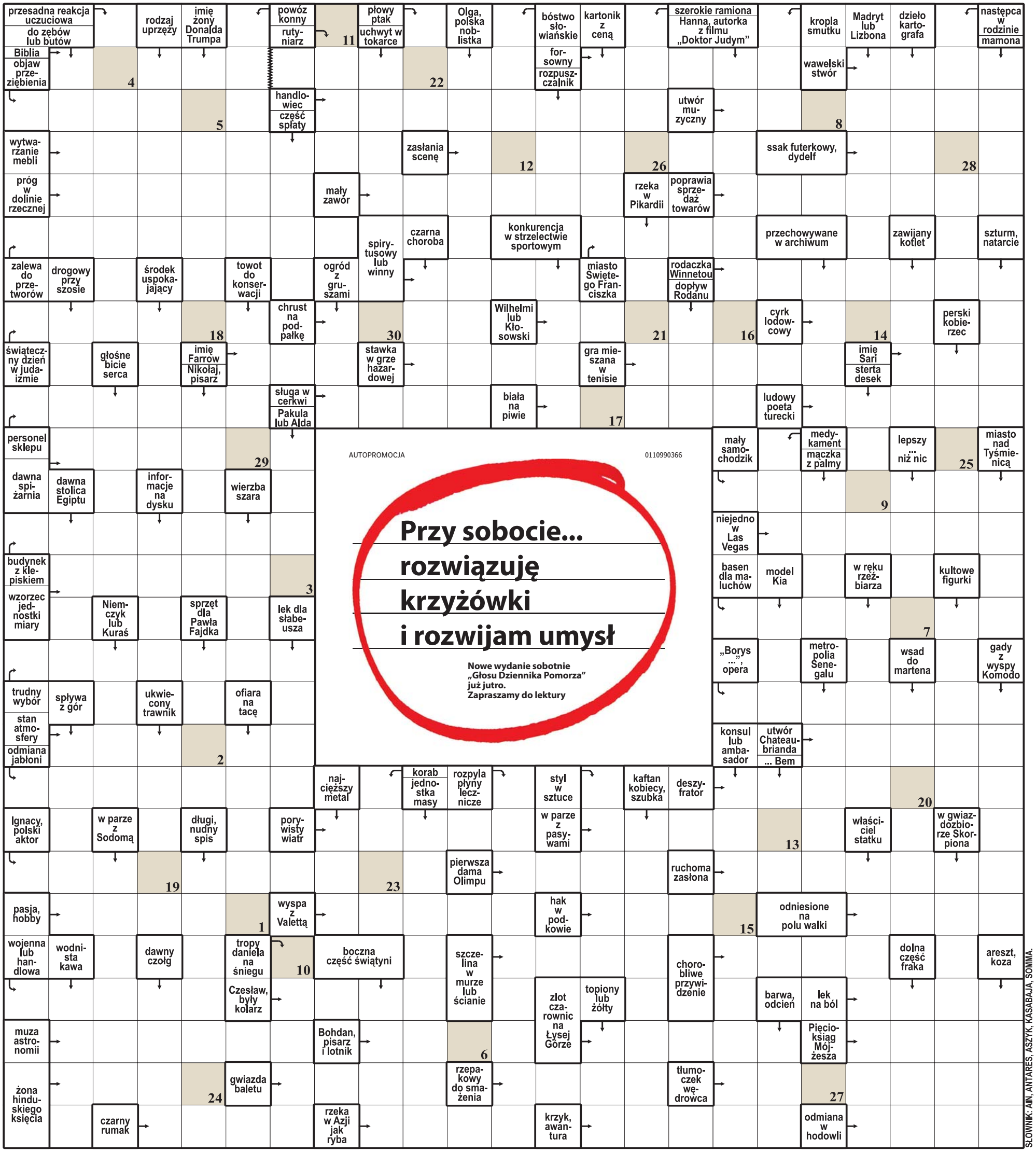

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 30 utworzą rozwiązanie: myśl markiza de Vauvenarguesa.

ROZWIĄZANIE: KONIECZNOŚĆ UWALNIA OD MĘKI WYBORU.

eprasa.pl e73f62faec

HISTORIA

Proszę wnieść oskarżonego

– Czy przyznaje się do winy? – Kiwa głową, że nie. Tak w skrócie przebiegła przed komunistycznym sądem rozprawa Władysława Radwana „Ostoi" z Brygad Wywiadowczych Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość"

Michał Wenklar

Kazimierz Moczarski, oficer Biura Informacji i Propagandy AK, dziennikarz i pisarz, autor m.in. „Rozmów z katem", wymieniał 49 rodzajów tortur, jakie stosowali wobec niego funkcjonariusze śledczy Urzędu Bezpieczeństwa. Czasem nie trzeba było tortur, nie trzeba było plutonu egzekucyjnego. Warunki w więzieniu bywały wystarczające, by doprowadzić człowieka do śmierci. Zwłaszcza człowieka zmagającego się z chorobą. Za przykład może posłużyć los dwóch konspiratorów z krakowsko-myślenickich struktur Brygad Wywiadowczych Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", Juliusza Oczko „Podkowy" i Władysława Radwana „Ostoi".

ZDJĘCIA: IPN

Od lewej: Juliusz Oczko „Podkowa" i Władysław Radwan „Ostoja"

Teczka

Brygady Wywiadowcze były formacją wywodzą się z czasów wojennych. W 1941 r., gdy budowa struktur cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego pozostawała jeszcze w powijakach, pod kierunkiem Ludwika Muzyczki „Benedykta" powstała siatka administracyjna podległa ZWZ. Nazywano ją administracją zmilitaryzowaną, Biurami Wojskowymi, nosiła kryptonim „Teczka". W jej ramach powstała osobna siatka, działająca niezależnie od wywiadu ZWZ-AK, pod nazwą Brygady Wywiadowcze. Kiedy podziemie cywilne, czyli Delegatura Rządu na Kraj, rozbudowała już swoje lokalne struktury, upomniała się o „Teczkę" tłumacząc, że to co cywilne, ma należeć do Delegatury, a to co wojskowe – do AK. W wyniku negocjacji między wojskowym i cywilnym pionem podziemnego państwa „Teczka" przeszła do Delegatury. Był jednak wyjątek – w Okręgu Krakowskim Brygady Wywiadowcze pozostały w AK.

Kiedy kończyła się wojna, krakowskie Brygady włączono do organizacji „Nie". Po rozwiązaniu „Nie" przeszły automatycznie do Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a od września 1945 r. były częścią Obszaru Południowego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" (WiN). Funkcjonowały poza terenowymi strukturami Zrzeszenia, podlegając bezpośrednio zarządowi Obszaru Południowego. Oprócz zadań wywiadowczych, formacja ta realizowała również działania informacyjne czy propagandowe.

Krakowskie struktury BW współtworzyli pochodzący z Osieczan bracia Eugeniusz i Stefan Ralscy, absolwenci myślenickiego gimnazjum. Eugeniusz przed wojną pracował w katedrze botaniki Uniwersytetu Jagiellońskiego, a Stefan, germanista z wykształcenia, był nauczycielem. Ich starszy brat Edward, profesor botaniki, został zamordowany w 1940 r. w Charkowie. Eugeniusz i Stefan zajmowali w Brygadach kierownicze stanowiska. Stefan miał za zadanie m.in. stworzenie struktur organizacji w powiecie Myślenice. Zaangażował do współpracy dwóch akowców z Obwodu Myślenice – kolegę z myślenickiego gimnazjum Juliusza Oczko „Podkowę" oraz pochodzącego z Sułkowic Władysława Radwana „Ostoję". Na podstawie przekazywanych przez informatorów danych Oczko, a potem Radwan sporządzali raporty wykorzystywane następnie do opracowania całościowych sprawozdań organizacji. Od wiosny 1946 r. obaj podlegali Romanowi Hegerowi, koordynującemu działalność Brygad w południowych powiatach województwa – nowotarskim, myślenickim i wadowickim. Heger, kolejna nietuzinkowa postać, był majorem wywiadu AK, a w cywilu artystą malarzem, związanym z krakowską ASP.

Oczko i Radwan

Juliusz Oczko był dowódcą jednego z batalionów w Obwodzie AK Myślenice. W październiku 1945 r. ujawnił się w ramach tzw. pierwszej amnestii. Zamieszkał w Krakowie i zgodnie z taktyką wchodzenia do instytucji państwowych został członkiem PPR oraz zastępcą naczelnika Urzędu Samochodowego w Krakowie. Radwan, w czasie wojny dowódca Wojskowej Służby Ochrony Powstania Obwodu AK Myślenice, po wojnie pracował jako inspektor Centrali Produktów Naftowych. Wiosną 1946 r. Oczko zaczął na polecenie Ralskiego pozyskiwać informatorów z rejonu powiatu myślenickiego - wśród nich znalazł się Franciszek Mróz „Bóbr", wówczas dowódca grupy zbrojnej określanej mianem Ruchu Oporu Armii Krajowej, jeden z najdłużej, bo aż do 1950 r. ukrywających się partyzantów. Łączniczką między Krakowem a Myślenicami była Celina Drozdowicz, wcześniej łączniczka AK. Wkrótce Oczko przekazał myślenicką sieć Radwanowi, w którego mieszkaniu przy ul. Starowiślnej mieścił się punkt kontaktowy.

Działalność ta trwała zaledwie kilka miesięcy, bo w sierpniu 1946 r. rozpoczęły się aresztowania w strukturach WiN, które dotknęły również Brygad Wywiadowczych. Już w sierpniu został aresztowany Stefan Ralski, a 6 września Heger. Radwana zatrzymano 25 października, Oczko 30 października 1946 r. W czasie rewizji znaleziono m.in. spisy funkcjonariuszy MO z powiatu myślenickiego czy członków Miejskiej Rady Narodowej z Myślenic.

Stefan Ralski i Roman Heger zostali skazani na 10 lat więzienia. Szczególnie tragiczne były losy Oczki i Radwana. Obaj już wcześniej chorowali na gruźlicę. Więzienne warunki spowodowały drastyczne pogorszenie się ich stanu zdrowia. W momencie odczytywania aktu oskarżenia Radwan przebywał w celi izolacyjnej dla gruźlików w więzieniu śledczym przy ul. Montelupich w Krakowie. Oczko, w jeszcze poważniejszym stanie, był już na oddziale chirurgicznym szpitala wojskowego – oprócz gruźlicy dostał zapalenia wyrostka robaczkowego. Więzienny lekarz stwierdzał jednoznacznie, że żaden z nich nie może uczestniczyć w rozprawie, a ich stan zdrowia nie rokuje nadziei na poprawę. Sąd był jednak zdeterminowany, ponowną próbę osądzenia podjął w kwietniu 1947 r. Rozmawiający z lekarzem funkcjonariusz UB uznał, że tylko stan Oczki uniemożliwia udział w rozprawie, natomiast Radwana można doprowadzić, a właściwie wnieść przed sąd.

Rozprawa odbyła się 23 czerwca 1947 r. Radwan został przyniesiony na noszach, ale nie był w stanie składać wyjaśnień. Adwokat wnosił o wyłączenie jego sprawy i rozpatrywanie jej później, przy poprawie stanu zdrowia. Wojskowy Sąd Rejonowy (WSR), któremu przewodniczył ppłk Antoni Łukasik, odrzucił wniosek uznając, że Radwan jest zupełnie przytomny, więc może być sądzony. Został skazany na 15 lat więzienia. Trójka jego współpracowników z rejonu Myślenic usłyszała wyroki od 5 do 10 lat więzienia.

Pozwólcie umrzeć w domu

Tymczasem stan „Podkowy" pogarszał się z dnia na dzień. 27 czerwca adwokat wniósł o uchylenie środka zapobiegawczego w postaci aresztu. Powołując się na opinie lekarzy twierdził, że gruźlica jest tak zaawansowana, że nawet w przypadku polepszenia stanu zdrowia przez kilka kolejnych miesięcy nie będzie się mógł poruszać, nie zachodzi więc obawa ucieczki. Sąd pozostawał niewzruszony – uznał, że Oczko i tak musi przebywać w szpitalu, więc zwolnienie go ze szpitala wojskowego w niczym nie zmieniłoby jego sytuacji. Podobnie odpowiadał na błagalne pisma jego żony Joanny. Dopiero dwa miesiące później, gdy „Podkowa" znajdował się już w stanie krytycznym, WSR uchylił środek zapobiegawczy i wysłał do szpitala wojskowego informację o możliwości jego zwolnienia. Niecałe trzy tygodnie później Oczko zmarł w swoim mieszkaniu przy al. Mickiewicza.

Radwan wciąż przebywał w szpitalu więziennym przy ul. Montelupich. Adwokat wniósł skargę rewizyjną argumentując, że jego stan zdrowia w czasie rozprawy nie pozwalał na zrozumienie zarzutów i złożenie świadomych wyjaśnień. Skarga została przyjęta i Najwyższy Sąd Wojskowy przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. W grudniu 1947 r. więzienny szpital informował, że choroba Radwana stale się pogłębia, a w warunkach więziennych nie ma szans na polepszenie. Stwierdzano też, że jest niezdolny do transportu – proponowano przeprowadzenie rozprawy na Montelupich. Tymczasem stan zdrowia „Ostoi" nie pozwalał nawet na to. Tak jak wcześniej Joanna Oczko, tak i żona Radwana, Emilia, błagała sąd, by jej męża zwolniono do domu – by mógł leczyć się tam, gdzie jest szansa na poprawę zdrowia, albo żeby chociaż mógł umrzeć wśród bliskich. Zgody nie było. W końcu 25 maja 1948 r., blisko rok po pierwszej rozprawie, Radwan ponownie stanął przed WSR. A właściwie nie stanął, skoro znów wniesiono go na noszach. Wtedy to na cały protokół rozprawy złożyły się cytowane we wstępie artykułu słowa. Oskarżony nie był w stanie powiedzieć ani słowa, kiwał tylko głową na pytania sędziego – tak, zrozumiałem akt oskarżenia, nie, nie przyznaję się do winy. W tej sytuacji sąd zawiesił postępowanie.

W kolejnych miesiącach rodzina ponownie wnioskowała o zwolnienie Radwana ze szpitala więziennego do domu. Owszem, stan jest ciężki – odpowiadał sąd, tym razem po przewodnictwem Juliana Polana-Haraschina – ale nie beznadziejny, a w szpitalu więziennym ma zapewnioną opiekę. Stwierdzono, że skoro Radwan jest oskarżony o poważne przestępstwa, to zachodzi niebezpieczeństwo ucieczki – a mowa o człowieku z zaawansowaną gruźlicą, z zastosowaną sztuczną odmą. Dopiero w maju 1949 r., a więc rok po drugiej rozprawie, uchylono środek zapobiegawczy w postaci aresztu i Radwan został zwolniony do domu. Pisał potem do sądu o zwrot depozytu, by mógł za sprzedane przedmioty uzyskać choć trochę pieniędzy na zakup lekarstw. Jak ciężka musiała być sytuacja, jeśli pomóc w niej miała sprzedaż wiecznego pióra, teczki czy zegarka z depozytu. Podobnie jak Oczko, również Radwan został zwolniony przez sąd dopiero wtedy, gdy stan był beznadziejny. Zmarł w domu 4 grudnia 1949 r. Tak jak w przypadku Oczki, komunistyczny sąd mógł uznać sprawę za zamkniętą i ją umorzyć.

eprasa.pl e73f62faec

SKOKI NARCIARSKIE

Z urokliwej Wisły przenosimy się do francuskiego Courchevel

Paweł Wiśniewski

Courchevel to jeden z najbardziej ekskluzywnych i prestiżowych kurortów narciarskich na świecie, położony we francuskich Alpach, w Sabaudii. To właśnie tutaj odbędą się kolejne zawody Letniej Grand Prix w skokach narciarskich.

Courchevel i 132-metrowy obiekt „Tremplin du Praz" to drugi z czterech przystanków tegorocznej edycji Letniego Grand Prix w skokach narciarskich. Już w najbliższy weekend (8-9 sierpnia) na starcie zawodów zobaczymy aż sześcioro naszych reprezentantów.

Przypomnijmy, że tegoroczne zmagania rozpoczęły się w miniony weekend w Wiśle na obiekcie im. Adama Małysza. Dwukrotnie triumfował Japończyk Naoki Nakamura, a najlepszy wynik z Polaków uzyskał Kacper Tomasiak, zajmując w pierwszym konkursie 7. miejsce (drugiego dnia Kamil Waszek uplasował się na 6. miejscu, ale został zdyskwalifikowany z powodu nieprzepisowej szerokości nart).

Liderem klasyfikacji generalnej Letniej Grand Prix jest oczywiście Naoki Nakamura, który zgromadził już 200 punktów za wygranie dwóch konkursów Wiśle. Co ciekawe, najlepszym indywidualnym „zimowym" wynikiem Japończyka jest 3. miejsce w zawodach w Ruce w sezonie 2022/2023...

Drugie miejsce w „generalce" zajmuje Austriak Marco Wörgötter – 112 punktów, a trzeci jest Szwajcar Gregor Deschwanden – 110 pkt. Kacper Tomasiak zdobył 62 punkty plasuje się na ósmej pozycji.

Polski Związek Narciarski desygnował do rywalizacji w Courchevel Klemensa Joniaka, Macieja Kota, Kamila Waszka, Jakuba Wolnego i Aleksandra Zniszczoła. A to oznacza to, że nasz zespół nie wykorzysta sześcioosobowej kwoty startowej, która przysługuje nam na ten okres lata.

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

Pochodzący z gminy Goleszów, 19-letni Kamil Waszek, przebojem wdarł się do grona najbardziej obiecujących polskich skoczków

W rywalizacji pań sprawdzi się Anna Twardosz, która w Wiśle zajmowała 11. i 19. miejsce.

We Francji zabraknie Macieja Maciusiaka, który pozostanie w kraju na treningach z Dawidem Kubackim, Kacprem Tomasiakiem, Pawłem Wąskiem i Piotrem Żyłą. Jak przekazał główny szkoleniowiec reprezentacji, do Courchevel udadzą się Stefan Horngacher, Michal Doležal i Krzysztof Biegun.

Oficjalny „letni" rekord skoczni „Tremplin du Praz" HS 132 m należy od 2011 roku do Kamila Stocha (137 metrów).

Wszystkie konkursy w Courchevel można obejrzeć na platformie HBO Max, a transmisja zmagań panów będzie dostępna w Eurosporcie 4.

Program zawodów

* Piątek, 7 sierpnia 2026 r.:
godz. 20.00 – odprawa techniczna.

* Sobota, 8 sierpnia 2026 r.:
godz. 8.30 – oficjalny trening kobiet;
godz. 10.30 – oficjalny trening mężczyzn;
godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet;
godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

* Niedziela, 9 sierpnia 2026 r.:
godz. 9.00 – kwalifikacje kobiet;
godz. 10.30 – kwalifikacje mężczyzn;
godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet;
godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

PIŁKA NOŻNA

Tylko jeden krok do raju. Polska będzie jeszcze bliżej elitarnej Ligi Mistrzów

Jacek Czaplewski

W tym roku mija dziesięć lat od ostatniego awansu polskiej drużyny w Lidze Mistrzów. Już wiemy, że w tę rocznicę kolejnego nie będzie, ponieważ w kompromitującym stylu z eliminacji odpadł Lech Poznań. Za rok senne marzenie może się jednak w końcu ziścić. Dlaczego?

Otóż w przypadku następnego mistrza Polski o awansie do fazy ligowej Champions League decydować będzie już tylko jeden dwumecz!

Liga Konferencji to rozgrywki trzeciej kategorii

Od kilku edycji polskie zespoły regularnie kwalifikują się do Ligi Konferencji. Rok temu mieliśmy w niej aż czterech przedstawicieli. To jednak rozgrywki trzeciej kategorii. Na szczycie niezmiennie pozostaje Liga Mistrzów oferująca niewyobrażalne wpływy do budżetu i mecze z gigantami. Do niej drzwi się nam zaryglowały.

Ostatnią drużyną, która wywalczyła awans, była bowiem Legia Warszawa – w 2016 roku. Kibice do dzisiaj wspominają hit z Realem Madryt zakończony remisem 3:3. Gdyby drużyna zachowała koncentrację do ostatniego gwizdka, to nawet odniosłaby sensacyjne zwycięstwo.

Lepsi byli Kazachowie, Słowacy i Cypryjczycy

Od tamtej pory nasze plany podboju Ligi Mistrzów kończyły się wyłącznie rozczarowaniami – zazwyczaj w drugiej lub trzeciej rundzie kwalifikacji. Legię wyeliminowali kolejno: kazachska Astana, słowacki Spartak Trnawa, cypryjska Omonia Nikozja i chorwackie Dinamo Zagrzeb. Dla Lecha za mocni byli azerski Karabach Agdam, serbska Crvena Zzvezda Belgrad i teraz duńskie Aarhus.

Jagiellonia przepadła z norweskim Bodo/Glimt, zaś Piast Gliwice, bo takiego mistrza Polski także przecież mieliśmy, z białoruskim BATE Borysów. Bogiem a prawdą najbliżej był Raków Częstochowa, który jako jedyny z tego grona dotarł do fazy play-off, przegrywając tylko o gola z duńską FC Kopenhagą.

I właśnie po czterech latach oczekiwania ponownie znajdziemy się od razu w decydującej rundzie. Dzięki dwunastemu miejscu w rankingu UEFA mistrz Polski zacznie bowiem walkę od fazy play-off.

20 milionów i mecze z Barcą na wyciągnięcie ręki

Zatem tylko jeden dwumecz dzielić będzie naszego czempiona od blisko 20 milionów euro premii za udział w fazie ligowej (to równowartość rocznego budżetu czołowych polskich klubów) i szansy na grę przeciwko Barcelonie, Realowi Madryt, Bayernowi Monachium czy PSG.

Na razie pozostaje nam zazdrościć. W nadchodzącej Lidze Mistrzów udział mają zagwarantowany Czesi (Slavia Praga), zaś tylko krok od piłkarskiego raju, tak jak nas w przyszłym roku, dzieli Austriaków (LASK Linz), Greków (AEK Ateny), Norwegów (Viking Stavanger) czy Szkotów (Celtic Glasgow).

SPORTY WALKI

Mateusz Gamrot w walce wieczoru! Szansa na umocnienie pozycji w rankingu

Jacek Łosak

Już w najbliższą sobotę Mateusz Gamrot stoczy kolejną walkę w oktagonie organizacji UFC. Dla Polaka będzie to szansa na drugie zwycięstwo z rzędu i umocnienie swojej pozycji w kategorii lekkiej.

Mateusz Gamrot walczył ostatni raz podczas jednej z kwietniowych gal UFC. Polak starł się z Estebanem Ribovicsem, którego zdominował i poddał w drugiej rundzie pojedynku. Dzięki tej wygranej „Gamer" powrócił na drogę zwycięstw po porażce z rąk Charlesa Oliveiry, byłego mistrza UFC.

W najbliższym pojedynku, który odbędzie się 8 sierpnia w Las Vegas, Mateusz Gamrot zmierzy się z młodym i niepokonanym w UFC Quillanem Salkilldem, który zajmuje 8. miejsce w rankingu najlepszych zawodników kategorii lekkiej UFC. Polak jest na pozycji 6.

Gamrot od dłuższego czasu przygotowywał się do walki, trenując na Florydzie, na macie klubu American Top Team i liczy, że dobry obóz przygotowawczy przybliży go do efektownej wygranej.

– Fajnie jest wygrać przed czasem, mamy przygotowane kilka rozwiązań – stwierdził Polak.

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

Mateusz Gamrot jest byłym podwójnym mistrzem KSW. W swoim dorobku ma 31 stoczonych pojedynków, z których 26 wygrał

eprasa.pl e73f62faec